

# POŁONINY

Bieszczadzkie Czasopismo Regionalne

## Zaradna Radna z Olszanicy szerzej na str. 4

Była osobą niezwykle popularną. Dowodem na to jest fakt, iż dwukrotnie została radną powiatową. Po raz pierwszy zasiadła w radzie dużego powiatu bieszczadzkiego, po raz drugi z dużą ilością głosów zwyciężyła w swoim okręgu w wyborach do powiatu leskiego. Teraz powinno się przedstawić tą osobę z imienia i nazwiska. Niestety reguły pisania o osobach oskarżonych nakazują wymieniać jedynie imię i pierwszą literę nazwiska. Józefa G. jak poinformował prokurator Zygmunt Stabik - szef Prokuratury Rejonowej w Lesku podejrzana jest o przywłaszczenie mienia, fałszowanie dokumentów, podpisów kredytobiorców i żyrantów na wnioskach kredytowych.

Co najbardziej bulwersuje to fakt iż wspólnie z podległą sobie pracownica prowadziła ten proceder od około 10 lat, czyli w również w czasie pierwszej i drugiej swojej kadencji w radach obu bieszczadzkich powiatów.

## Trzynastu sprawiedliwych

**szerzej na str. 4**

W mieście od pewnego czasu krążą plotki o tym kto ma startować na tą funkcję, co więcej miasto mówi też o tym, że również na stanowisko samego szefa SPZOZ też się ktoś szykuje. W plotkarskim plebiscycie zastępcą dyrektora chciałby podobno zostać doktor Marek Kęska, Jan Matusik, czy też Pani Urszula Paczkowska, zaś szefem - obsadzany co jakiś czas na jakimś wysokim stanowisku w mieście - Adam Pęziół.

## Złośliwe wirusy

Wirusy komputerowe nie ominęły również naszego redakcyjnego komputera. Złośliwiec o swojskiej nazwie "Blebla" zagnieździł się w naszym komputerze powodując zagrożenie dla zgromadzonych w nim materiałów do niniejszego wydania "Polonin". Po ciężkiej pracy programisty udało się odzyskać większość materiałów. Niestety spowodowało to opóźnienie w wydaniu tego numeru, za co czytelników serdecznie przepraszamy. Kolejny numer naszego pisma ukaże się 1 marca.

Redakcja

### W numerze warto przeczytać:

Nowe i stare, człowiek i urząd  
- nowa poczta w Lesku  
str. 3

Unio moja żono... - gminne  
punkty informacji o UE  
str. 5

Polskie tradycje kulinarne:  
Ryby  
str. 7

Marek Scelina - starosta  
historyczny  
str. 8

Moim zdaniem -  
Przyganiał kocioł garnkowi  
str. 15

Księgi wieczyste znowu  
w Ustrzykach  
str. 16

*My słuchamy*

**Radio**  
**BIESZCZADY**





## O CZYM PISZCZY W BIESZCZADZKIEJ TRAWIE?

### I stał się cud

W środę 29 stycznia musiałem pilnie wyjechać autobusem z Ustrzyk do Sanoka. Jako że od dawna nie jeździłem autobusem postanowiłem zadzwonić do punktu informacji pod numer 461- 12-36 w Ustrzykach Dolnych. Po chwili w słuchawce odezwał się miły głos z pytaniem czym może służyć. Powiedziałem, że chodzi mi o autobus do Sanoka. Pani podała mi trzy godziny odjazdu zaznaczając na koniec, że mogę też skorzystać z MKS-u który zawiezie mnie aż na Dąbrówkę. To stwierdzenie wzbudziło moją nieufność, z Ustrzyk MKS-em na Dąbrówkę. Z jakich Ustrzyk - z Leska odparła Pani. Moje tłumaczenie na nic się nie zdało Pani z Dworca w Lesku nie wierzyła mi twierdząc, że pomyliłem numer telefonu. Przeprosilem i zadzwoniłem raz jeszcze na podany wyżej ustrzycki numer. Ponownie zgłosiła się pani i jak się po chwili okazało była to ta sama pani z dworca w Lesku. Tym razem umówiliśmy się, że zrobię to jeszcze raz zgodnie z zasadą do trzech razy sztuka. Jak się państwo pewnie domyślają pod numerem 461- 12- 36 zgłosiła się informacja na dworcu w Lesku. Owszem uzyskałem potrzebną mi informację, ale zrezygnowałem już z wyjaśniania tej sprawy, bo prócz biletu wyjazd do Sanoka obciążały jeszcze trzy telefoniczne rozmowy.

### Zapadł wyrok

Zapadł wyrok w sprawie która dotyczyła niszczenia plakatów wyborczych kandydata Lewicowo- Ludowej Koalicji dla Bieszczad na burmistrza Ustrzyk Dolnych. Plakaty niszczyli i to już w chwili

## Narzędzia

**Czy chcemy, czy nie chcemy pozostawiamy ślad. I jesteśmy siedliskiem śladów. W każdym z nas są ślady szczęśliwego lub nieszczęśliwego dzieciństwa, dobrej lub złej szkoły, środowisk, w których funkcjonowaliśmy, i w których funkcjonujemy.**

Na bieszczadzkiej społeczności swój ślad, swoje piętno odcisnęła 3-letnia powiatowa kampania lesko-ustrzycka. Lesko w ciągu kilkunastu godzin od uświadomienia sobie porażki stało się stroną aktywną, wojującą. Ustrzyki przeszły praktycznie do biernoj obrony swojej zdobyczy i dlatego atmosfery powszechnej mobilizacji nie znają. Nad Sanem podjęto walkę, sięgnięto do bogatego arsenału środków, zmobilizowano wszystkie siły, w końcu osiągnięto zwycięstwo. Ale zwycięstwo, każde zwycięstwo, ma swoją określoną cenę. W tym przypadku jest ona wysoka - Lesko zapłaciło społeczną demoralizacją.

Inna rzecz, że demoralizują wszystkie etapy - i czas sprzeciwu i czas konsumpcji owoców zwycięstwa. W pierwszym dozwolone jest wszystko, bowiem z natury rzeczy pokrzywdzony, uciskany, zdeptany, zaskarbia sobie społeczną sympatię. Kraj Lesku żył w kibicowaniu. Po zwycięstwie to samo: poczucie wspólnoty sukcesu, poczucie siły, niezlomności, potęgi wynikającej z przeświadczenia o umiejętności skutecznej obrony własnych żywotnych interesów. Leska demoralizacja zwycięzców przejawia się w powszechnym przekonaniu, że o wszystko należy walczyć zjadając i na pewno, że zwycięży się w każdym konflikcie. Lesko jest przeświadczone, że posiada patent na skuteczne prowadzenie zwycięskiej wojny. Wojny małego miasteczka z wielką strukturą państwa, wojny małego aeroklubu z wielką politechniką.

Czyste były przez czterema laty intencje Leska, czyste są intencje Aeroklubu

ciszy wyborczej pełnomocnik BSS Antoni S. oraz członek miejskiej komisji wyborczej Krzysztof L. Dodam iż obydwaj byli i są pracownikami Urzędu Miasta, a w czasie wyborów ich bezpośrednim zwierzchnikiem był przeciwnik wyborczy kandydata lewicy obecny burmistrz Henry Suluja. Oskarżeni uznani zostali za winnych zakłócania ciszy wyborczej i otrzymali karę grzywny.

### Ile kosztuje "Gazeta Bieszczadzka"?

W odpowiedzi na informację, pod takim właśnie tytułem, zamieszczoną w numerze 1(2) "Połonin" redaktor "Gazety Bieszczadzkiej" Tadeusz Szewczyk usłusze zarzucić nam coś czego nigdy nie napisaliśmy. W naszej informacji znalazło się następujące stwierdzenie: "Oznacza to, że każdy egzemplarz tego pisma, za który czytelnik płaci dwa złote, kosztuje w rzeczywistości cztery. Tylko tę drugą część płaci każdy mieszkaniec naszej gminy w formie podatków." Oskarżeni o pisanie nieprawdy, pragniemy wyjaśnić, że Uchwałą nr IV/27/2003 z dnia 6 stycznia br. Rada Miejska przyznała "Gazecie Bieszczadzkiej" dotację przedmiotową w wysokości 1,87 PLN do jednego egzemplarza gazety. Przy nakładzie 1500 sztuk dotacja do jednego wydanego numeru wyniesie 2805 PLN. Zakładając wysoką sprzedaż na poziomie 80% faktyczna dopłata do jednego egzemplarza gazety wyniesie 2,33 PLN. W żadnym miejscu naszej krótkiej informacji nie pisaliśmy, że każdy mieszkaniec naszej gminy dopłaca dwa złote do każdego egzemplarza gazety, co usłusze nam zarzucić redaktor Szewczyk. Trudno jest zrozumieć intencję jakie kierowały autorem przy pisaniu tego artykułu, pełnego złośliwych oskarżeń pod naszym adresem. Na łamach czasopism "Połoniny" i "Bieszczady-inaczej" nie podważaliśmy osiągnięć "Gazety Bieszczadzkiej" a zarzucaliśmy jej jedynie to, że jest organem ludzi rządzących gminą, zupełnie bezkrytycznym wobec ich poczyni. Jako obywatele tej społeczności mamy prawo oceniać "Gazetę" i informować o kosztach jej wydawania tym bardziej, że jest wydawana za publiczne pieniądze. Co do zarzutów łamania prawa jakie przedstawia nam redaktor Szewczyk uprzejmie informujemy, że obowiązkiem każdego obywatela, który powziął wiedzę o popełnionym przestępstwie jest zawiadomienie o nim organów ścigania.

Bieszczadzkiego. Ale na tym analogie się kończą, czego nie potrafia dostrzec - rzeczywistość zasłuzeni we wskrzeszeniu Bezmiechowej - działacze lotniczego stowarzyszenia. Korci ich próba sięgania do arsenału środków, które zdały egzamin w powiatowej batalii. Znow pojawił się popyt na hasła: nie pozwolimy, nie pogodzimy się, nie damy się zdeptać, ani spacyfikować naszych pięknych marzeń o Bezmiechowej. Protestujemy. I czynnie i publicznie się sprzeciwiamy. To wszystko jest w zasięgu ręki. I to wszystko rzeczywiście zwróci na Bezmiechową, na Aeroklub uwagę. Życzliwą uwagę. Ale niczego nie załatwi. Z tej przyczyny, że tamte nieskomplikowane narzędzia do tego celu się nie nadają. Powiatowy cel mieścić się w granicach "albo-albo". Można było tylko wygrać, tylko zyskać; nie osiągnąwszy celu, niczego się nie traciło. Teraz chodzi o coś diametralnie innego. O kompromis, o określenie zasad partnerstwa, o pogodzenie w Bezmiechowej interesów Politechniki i Aeroklubu. Czyli o interes Leska. O spójny interes Aeroklubu i Leska.

Demoralizacja zwyciężczych weteranów powiatowej wojny, utrwalenie bezkompromisowego modelu dążeń, jest na dłuższą metę prawdziwym nieszczęściem, nabytą ułomnością charakteru. Rzeczniczy lesko-rzeszowskiej wojny o lotnisko niepokoją brakiem wyobraźni. Przecież dziś, gdy wystygły powiatowe swary nikt nie żywi już przekonania, że powiat wywalczono ulicznymi wieciami, grzmiotem trąb leskiej orkiestry, czy dziesiątkami gazetowych tekstów. Fajerwerki przykuły uwagę kraju, ale rzeczywisty efekt osiągnięto na dwóch zupełnie innych równoległych drogach: przez ciepłe wypełnianie formalnej procedury i przez rozmowy, debaty, dyskusje.

A Lesku się wydaje, że miast rozmawiać, lepiej w trąby zadąć. Przy dźwięku trąb można pięknie i widowiskowo zginąć, ale Lesku żywy Aeroklub potrzebny. Tu kompromisu potrzeba i tym bezmiechowski konflikt różni się od wojny o powiat. Kombatantkie doświadczenia stają się kulą u nogi, od nawyku sięgania po broń czas się odzwyczaić.

Jakub Demel



# Nowe i stare, człowiek i urząd

Wczesnym popołudniem w słoneczny poniedziałek 20 stycznia wypełniona klientami główna salę leskiej poczty przedzieliła biało-czerwona szarfa. Kto miał ochotę, mógł po załatwieniu swej sprawy lokal opuścić, kto chciał mógł, pozostać i przycinaniu wstęgi asystować. Dla Leska nastał dzień uroczystego oddania do użytku nowej poczty. Faktycznie uruchomiona została w przedostatni dzień grudnia, więc czas wstępnego rozruchu miała już za sobą. Zarówno dla Leska, jak i dla samej instytucji Poczty objęcie nowego obiektu ma wymiar szczególny. Dla Poczty Polskiej zasadza się on w tym, że lokalna placówka pocztowa od 1938 r. tkwiła w dzierżawionym prywatnym budynku zagnieżdżyła się wreszcie pod własnym dachem. Dla władz miasta sprawa jest ważna o tyle, że wreszcie mieszkańcy mają urząd pocztowy godny rangi powiatowego grodu. Skończył się wstyd wobec swoich i wstyd wobec turystów.

Na przełomie XX i XXI w., czyli inaczej mówiąc w poprzedniej kadencji samorządowych władz miejskich, podjęto kolejne już z rzędu starania o budowę nowej placówki pocztowej. Formalnie nie grały tu roli równoległe zabiegi Leska o nadanie miastu rangi starostwa, ale był to czas, kiedy w trosce o kondycję psychiczną mieszkańców należało im subtylnie satysfakcji zafundować. Wzorem stolicy, która w zwrotnych momentach historii, w latach politycznych kryzysów i przełomów decydowała się na odkładanie przez lata odbudowę Zamku Królewskiego czy budowę metra, Lesko zdecydowało się na powrót do wielokrotnie zaniechanego tematu poczty. Faktem jednakże jest, że istotną rolę grały obiektywne realia: leciwy, pochodzący z końca XIX stulecia budynek w sensie zaplecza lokalowego coraz mniej potrzebom instytucji odpowiadał. Od dawna wiadomo było, że w tych warunkach urząd egzystować nie może. Trwał prawem bezwładu. Wielokrotnie napływały dobre wieści, sygnaly troski władz zwierzchnich, ale kończyły się na złudzeniach. Tutejsza poczta osiadła na mieliznie i tkwiła poza głównym nurtem cywilizacyjnych przemian. Zawsze zresztą wychodziły na wierzch pilniejsze potrzeby, choćby wynikające ze starego układu strukturalnego firmy. Przed 30. laty, kiedy leski temat wszedł na poważnie w program, już nie tyle debat, co wręcz wykonawczy, fundusze ulokowano w sanockiej centrali telefonicznej. Lesko spychane było z roku na rok. Ugrzęzło w wysiedzianym przez dziesiątki lat miejscu i przeczekiwało permanentną rotację na szczeblach urzędniczej pocztowej maszyny, od ministerialnego począwszy. Nadzieję powściągnęła, gdy instytucja Poczty Polskiej weszła w nowe ramy organizacyjne. Pocztowcy stali się przedsiębiorcami, stali się gospodarzami potrafiącymi rozmawiać o inwestycjach. W Lesko, w tutejszą pocztę postanowili zainwestować.

Miasto, które od lat na nowy obiekt czekało, w mgnieniu oka przyszłemu inwestorowi działkę wskazało i troskliwie drogę do Leska mościło. I właśnie wówczas się zaczęło, zaczęło iść ku dobru. Szybko i konsekwentnie. W słotny jesienny czas 2001 r. celebrowano akt wmurowania kamienia węgielnego. Z dostojnych dyrektorów ust padały doniosłe słowa. Wybetonowany wykop i stalowy szkielec zapowiadający bryłę przyszłego urzędu już wtedy wskazywały, iż nie są to słowa na wiatr rzucone. Wynikało z nich, że Lesko wygrało swoją szansę. Wygrana była dziełem spotkania inicjatywy z oczekiwaniami, gotowości z propozycją. Dla miasta była to główna wygrana, nikt w kraju jeszcze nie miał takiej poczty.

Na bazie hasła europeizacji, na fali przyspieszenia związanego z wchodzeniem do Europy, Poczta Polska skonstruowała tzw. europejski standard wprowadzany w całym kraju. Opracowano kilka wzorów, powtarzalnych w sensie funkcjonalnym, opartych o te same zasadnicze kryteria. Leski obiekt stał się prototypem urzędu pocztowego do obsługi miast o zbliżonej wielkości, przy jednoczesnym uwzględnieniu obszaru działania. A ten połowę Bieszczadów obejmuje, aż po najodleglejszą Wetlinę. Obiekt nowego typu - jak leski właśnie - ma być więc w sposób doskonały wpisany zarówno w swe miejscowe środowisko, jak i w region. Przyjęto założenie, że każda z nowych placówek jest architektonicznie niepowtarzalna, albowiem współgrać ma z krajobrazem miasta, któremu służy. Akurat ta kwestia nie należała do trudnych - bryłę opracowała ta sama sanocka pracownia architektoniczna, z którą

Lesko od kilku lat współpracuje. Europejski standard w polskim pocztowym wydaniu ma klientowi jednoznacznie się kojarzyć. Barwa i krój mundurów to nie wszystko. W Lesku zauważa się szereg rzeczywiście nowych elementów: długą ladę, która rząd dawnych okienek zastąpiła, to samo uporządkowanie kolejności stanowisk obsługi interesanta, ten sam - docelowy na tym etapie - wachlarz usług, aż po Internet właśnie, i wreszcie zasada pełnej dostępności urzędu dla osób niepełnosprawnych; inwalidzkim wózkiem spokojnie po sali można manewrować. Cała ta szczęśliwość, całe to piękno, cała ta nowoczesność ma swoją cenę. Wysoką i wymierną.

Leski szczęśliwy los wygrany w pocztowej inwestycyjnej loterii kryje się w słowach: "planowano, przewidywano, zmierzano". Dziś po uruchomieniu nowego obiektu te słowa opisują rzeczywisty stan rzeczy. Wiele wskazuje na to, że powszechna standaryzacja urzędów pocztowych jest przedsięwzięciem skomplikowanym, a więc i kosztownym, rozłożonym na szereg lat, jeśli nie dziesięcioleci. Lesko, kosztem 2,5 mln zł. wyłożonych przez Poczcie chwyciło kontakt z nowoczesnością, ze śmiałością wizji, zmieściło się, wykorzystało wąziutką przesmyk czasu między dawną pocztową biedą, a dzisiejszym skrupulatnym liczeniem kasy, bilansowaniem środków i naciąganiem koldry jak i wszędzie - w stosunku do ambicji - zbyt krótkiej. Podczas celebry nie było mówcy, który by kwestię rentowności przedsięwzięcia pominął. Może dlatego, mimo wielu podniosłych słów na ceremonii otwarcia o standaryzacji mówi się już bez zauroczenia, tak bardzo wyraźnego podczas uroczystości wmurowania kamienia węgielnego. Dzisiejsze dyrektorskie zachwyty opiewają Lesko, Kielce i Tychy - największe obiekty ze standaryzowanej serii. Bo co zaczęło - skończono.

Wszystkie założenia standaryzacyjne rzeczywiście zostały w Lesku wprowadzone. Stara poczta, wystrojem dorównująca nieśmiertelnemu obiektowi milicyjnego kasyna, gdzie czas zatrzymał się na epoce średniego Gomułka, przeniosła się do lokalu godnego przyzwoitego banku. Przyciągają wzrok powtarzalne granatowo-żółte akcenty firmowych barw Poczty Polskiej, w klientów zaś - dla odmiany - wpatrują się czujne obiektywy kamer wewnętrznej sieci monitoringu, zastępujące i dawną taflę szyby odgradzającej petenta od urzędnika i więziennego wzoru kraty w oknach.

Leska "brama w Bieszczady" wyposażona została więc w obiekt, którym nietrudno turystom zaimponować. Tym większa to satysfakcja dla Poczty, że z europejskiego wzoru placówka zawędrowała w rzekomo zapomnianą wschodnią ścianę Rzeczypospolitej, w Polskę "B" opartą o wschodnie pogranicze, zawędrowała w strefę wschodniej granicy Unii Europejskiej. W region, skąd wzory estetyki i sprawności działania służb publicznych czerpią pojawiający się coraz częściej na naszych ulicach sąsiedzi zza bliskiej granicy.

Łącznikiem między dawnymi, a nowymi czasami jest człowiek. Jego pamięć, jego dorobek, jego doświadczenie. Człowiekiem, który w leskiej poczcie doświadczył wszystkiego jest pani naczelnik Michalina Górecka. Właśnie zamyka bilans 36 lat pracy w zawodzie i sposobu się do emerytury. Ostatni miesiąc pracy pani naczelnik, to pierwszy miesiąc pracy leskiej placówki pod nowym dachem. Styczeń 2003 r. okazał się miesiącem łączącym i jednocześnie dzielącym dwie epoki. W życiu urzędu i w życiu człowieka.

Jakub Demel



# TRZYNASTU SPRAWIEDLIWYCH

Zwycięstwo w wyborczej walce o mandat radnego powiatu bieszczadzkiego postawiło chirurga, zastępcę dyrektora SPZOZ w Ustrzykach Jarosława Błachno w sytuacji gdzie musiał zdecydować kim chce być - radnym czy wicedyrektorem. Nowa ordynacja wyborcza nie pozostawia tutaj żadnych niejasności, osoby pozostające na kierowniczych stanowiskach w jednostkach organizacyjnych powiatu czy gminy muszą wybrać pomiędzy dalszym sprawowaniem swojej funkcji lub mandatem radnego. Dziwnie było z tą rezygnacją zastępcy dyrektora, ale gdy wyjaśniono w pełni to, iż SPZOZ podlega starostwu Jarosław Błachno pozostał w radzie rezygnując z dyktowania. Kondycja SPZOZ a tym samym i szpitala nie jest bowiem ostatnio najlepsza, a na Błachnę czekała w radzie dodatkowo funkcja wiceprzewodniczącego, więc to osłodziło mu chyba trochę fakt rezygnacji. Tak czy inaczej normalną koleją rzeczy doszło do tego iż postanowiono ogłosić konkurs na stanowisko zastępcy dyrektora SPZOZ w Ustrzykach Dolnych. W tym też celu na ostatniej sesji rady powiatu powołano Komisję Konkursową, która zdecyduje komu powierzy się tą funkcję.

W mieście od pewnego czasu krąży plotki o tym kto ma startować na tą funkcję, co więcej miasto mówi też o tym, że również na stanowisko samego szefa SPZOZ też się ktoś szykuje. W plotkarskim plebiscycie zastępcę dyrektora chciałby podobno zostać doktor Marek Kęska, Jan Matusik, czy też Pani Urszula Paczkowska, zaś szefem - obsadzany co jakiś czas na jakimś wysokim stanowisku w mieście - Adam Pizioł. Ile w tym jest prawdy pokazały już propozycje składu komisji konkursowej. W jej skład weszli lekarze Teresa Mikołajczak, Jadwiga Bobrownicka-Kocur, Marek Kęska, Jarosław Błachno, Janusz Ejsmond, Stanisław Skiba, Robert Roczniak przedstawicielce pielęgniarek i związków zawodowych służby zdrowia Maria Magdalena Noga, Jolanta Walczak, Stanisława Kopeć, Bogusław Bidziński oraz Jadwiga Neroj i starosta Ewa Sudół. Kandydatury te zgłosiły związki oraz sześć osób rada powiatu. W trakcie sesji zaproponowano jeszcze w skład komisji lekarzy Krzysztofa Wnuka i Krzysztofa Husara, kandydatury te przedstawił Lewieowo -Ludowa Koalicja dla Bieszczad i Niezależni. Niestety obydwie jednoznacznie przypadły w głosowaniu, ponieważ sprawujący władzę BSS z OPS głosował przeciw, mimo iż ich kandydatury w większości zostały poparte przez opozycję.

Emocje wzbudził wybór przewodniczącego komisji. Wicestarosta Marek Andruh zaproponował przewodnictwo komisji staroście Ewie Sudół. Ta propozycja nie przypadła do gustu radnemu Wiesławowi Stebnickiemu, który

stwierdził, że nieetycznym jest, by osoba która sprawowała przez ostatni rok nadzór nad SPZOZ-em i tym samym miała wpływ choćby pośredni na fatalną kondycję finansową firmy szefowała komisji wybierającej nowego zastępcę dyrektora. Stebnicki zaproponował powierzenie tej funkcji radnej Teresie Mikołajczak motywując to tym, iż sama potrafiła sobie w znakomity sposób zorganizować praktykę lekarską na terenie gminy Lutówka, a więc swoje doświadczenie mogłaby wykorzystać odpowiednio w szefowaniu tej komisji. Niestety Teresa Mikołajczak po głębokim zastanowieniu nie zdecydowała się kandydować przeciw Ewie Sudół. Tak więc Ewa Sudół stosunkiem głosów 9 : 5 : 1 została przewodniczącą komisji. Na dowód, że nie jest to trafny wybór powiem tylko tyle, że startującym w konkursie kandydatom będzie przysługiwać odwołanie, a w takim układzie - jeśli odwołania by były - decyzyj Ewy Sudół jako szefa komisji konkursowej rozpatrywać będzie Ewa Sudół starosta powiatu bieszczadzkiego. Trzeba przyznać, iż jest zastanawiający dowód skromności starosty. Jak mówią dowcipni do rozdania pozostało jeszcze kilka funkcji w mieście i ciekawe jak szybko obejmie je Ewa Sudół, podobno następną będzie stanowisko szefa Ochotniczej Straży Pożarnej w Bandrowie. Poczekamy, zobaczymy.

11 lutego Komisja Konkursowa ustali kryteria wybory zastępcy dyrektora oraz termin kiedy konkurs zostanie rozstrzygnięty.

/mart/

## Zaradna radna

Była osobą niezwykle popularną. Dowodem na to jest fakt iż dwukrotnie została radną powiatową. Po raz pierwszy zasiadała w radzie dużego powiatu bieszczadzkiego, po raz drugi z dużą ilością głosów zwyciężyła w swoim okręgu w wyborach do powiatu leśkiego. Teraz powinno się przedstawić tą osobę z imienia i nazwiska. Niestety reguły pisania o osobach oskarżonych nakazują wymieniać jedynie imię i pierwszą literę nazwiska. Józefa G. jak poinformował prokurator Zygmunt Stabik - szef Prokuratury Rejonowej w Lesku podejrzana jest o przywłaszczenie mienia, fałszowanie dokumentów, podpisów kredytobiorców i żyrantów na wnioskach kredytowych. Co najbardziej bulwersuje to fakt iż wspólnie z podległą sobie pracownicą prowadziła ten proceder od około 10 lat, czyli w również w czasie pierwszej i drugiej swojej kadencji w radach obu bieszczadzskich powiatów.

Jak poinformował w "Nowinach" dyrektor Podkarpackiego Banku Spółdzielczego Lesław Wojtas, szacuje się że bank przez przestępczą działalność kasjerki i kierowniczkę filii banku w Olszanie w ciągu 10 lat stracił około 1 miliona zł. Tracono między innymi na zyskach, procentach z niego i na prowizjach. Zdaniem dyrektora strata ta nie wpłynęła znacząco na kondycję banku bo ten w swoich 11 oddziałach i 12 filiach wyparował w 2002 roku 3 miliony zł zysku.

Postać Józefy G. jest znana dobrze mieszkańcom Ustrzyk Dolnych, niestety z nieczytą dobrej strony. Otóż w dużym powiecie bieszczadzkim wybrano 25 radnych, do ostatniej chwili trwały też rozmowy związane z tym która opcja zwycięży czy leska czy ustrzycka, a tym samym kto zostanie starostą Henryk Goczek czy Piotr Korczak. Radni z Ustrzyk liczyli na dwójkę radnych z Olszanie. Pani Jadwiga Neroj z Paszowej dołączyła do opcji ustrzyckiej, natomiast Józefa G. została przekonana do opcji leskiej, co automatycznie dawało leszczanom przewagę jednego mandatu w radzie. Pamiętam, że w jednym z felietonów napisałem, iż argumentem, który Józefę G. przekonał do takiej decyzji była obietnica awansu na szefową oddziału Podkarpackiego Banku Spółdzielczego w Lesku. Po tym felietonie kierująca filią banku w Olszanie Józefa G. zadzwoniła do mnie strasząc mnie sądem za pomówienie. Jednak zaledwie trzy miesiące po tym felietonie Józefa G. awansowała na to stanowisko. Nie odmówiłem sobie przyjemności i zadzwoniłem do pani dyrektora z gratulacjami. Józefa G. stwierdziła, że ten awans to nie żadna nagroda za "prawidłowe" głosowanie, a jedynie uznanie dla jej bankowych umiejętności.

No cóż życie pokazało iż faktycznie umiejętności pani dyrektora nie były małe. Kiedy po niepokojących sygnałach z końcem ubiegłego roku zjechała do leśkiego oddziału banku wewnętrzna kontrola okazało się że skala procederu uprawianego przez kasjerkę z Olszanie Cecylię B. i Józefę G. była ogromna. Przez dziesięć lat na

lewe nazwiska i martwe dusze obie zapobiegliwie panie udzieliły sobie kredytów na około 4 miliony zł. Oczywiście sporą część pobranych kredytów spłacano pobierając następne. Jednak bez przerwy wisiał nad obu paniami, a raczej nad podstawionymi przez nich kredytobiorcami spory debet. Jak pisałem wcześniej, zdaniem dyrektora banku w chwili przecięcia tego procederu strata banku to kwota miliona zł.

Sprawa ta budzi w Ustrzykach spore kontrowersje jeszcze z jednego powodu. Otóż bank ten wygrał przetarg na obsługę starostwa bieszczadzkiego. Przypomnę, że stało się tak z powodu specyficznej oferty, mianowicie bank za obsługę kont starostwa postanowił nie brać żadnych pieniędzy, a na dodatek starostwo otrzymywałoby procent za lokatę pieniędzy na koncie. Z tak skonstruowaną ofertą, żaden z pozostałych trzech ustrzyckich banków nie mógł wygrać, mimo iż PBS nie ma w Ustrzykach nawet filii, ma zaś jedynie punkt kasowy w starostwie. O punkcie tym mówi się w mieście, że jest to zemsta poprzedniego starosty na Ustrzykach bowiem to właśnie za poprzednich rządów w starostwie PBS zawiał do Ustrzyk. Jak widać na przykładzie działań leśkiego oddziału PBS nie wszystko tam układa się tak jak należy. Bo mało który szanujący się bank pozwala sobie na trwającą tyle lat oszukańczą działalność swojego prominentnego pracownika. Tym samym można mieć obawy o bezpieczeństwo pieniędzy starostwa, mimo iż prezes banku twierdzi, że sprawa ta nie psuje kondycji finansowej banku. Dla mnie jasną rzeczą jest to, że straty ktoś musi wyrównać. Jeśli starostwo nie zapłaci nic za obsługę konta to będą to musieli zrobić inni klienci banku bo przecież zyski choćby najmniejsze muszą się z czegoś brać. Na dodatek ruch spółdzielczy od dawien dawna charakteryzował się czystością zasad i działan, a w Ustrzykach jeden z rodziny spółdzielczych banków robi nieczystą konkurencję drugiemu, znaczy to że i w ruchu spółdzielczym coś się psuje.

Wiesław Stebnicki



# Unio moja żono...

**Lesko.** Rozpoczęło się ostateczne odliczanie przed czerwcowym referendum. Gminy zakończyły rekrutację absolwentów, którzy od 1-go marca podejmą prace w gminnych punktach informacji o UE, w charakterze konsultantów. Na Podkarpaciu takich konsultantów będzie około trzystu, będą oni pracować w ponad 150-ci punktach w regionie.

W powiecie leskim za wielkiego tłoku przy składaniu podań nie było. Były wręcz gminy gdzie pojawił się problem - co zrobić skoro zgłosił się tylko jeden kandydat, a ustawa wymaga dwóch. Powiatowy Urząd Pracy w Lesku zrobił wstępna selekcję kandydatów. Skierowaliśmy do burmistrza Leska i wójtów okolicznych gmin 10. osób. Po rozmowach z władzami gmin, okazało się którzy z kandydatów najbliższe cztery miesiące spędzą jako konsultanci - mówi Krzysztof Bąk kierownik PUP w Lesku.

*Na razie jeszcze nic nie wiemy - usłyszeliśmy w leskim ratuszu na kilka dni przed upływającym terminem zamknięcia rekrutacji. Przyjmijemy dwie osoby, ale kto to będzie tego nie wiadomo. Nie wiemy też gdzie będzie zlokalizowane gminne centrum informacji europejskiej - powiedział Mariusz Werwiński zastępca burmistrza.*

W gminie Olszanica z pomieszczeniem nie ma problemu. *W UG mamy takie pomieszczenia, które wyłączymy na cztery miesiące i zaadaptujemy na potrzeby centrum - mówi Jadwiga Car sekretarz gminy. Mam jednak inny problem. Jedna z dwóch osób spełniających kryteria aby objąć posadę konsultanta, oświadczyła że wyjeżdża za granicę. Boimy się że będziemy musieli zatrudnić osobę spoza gminy, a nasze społeczeństwo jest raczej negatywnie nastawione do takich praktyk - martwi się sekretarz.*

*W gminie Solina, trwają ostatnie przygotowania do stworzenia centrum. Na razie jednak nie ma jeszcze ani lokum, ani pracowników - dowiedzieliśmy się w urzędzie.*

*W gminie Baligród kandydatury nie spełniały wymagań, więc rekrutacja będzie przeprowadzona ponownie - poinformował pracownik urzędu. Nie ma natomiast problemu z zapleczem komputerowym i lokum dla centrum. W naszej gminie jest sieć komputerowa, i sprzęt, tak więc jeśli chodzi o infrastrukturę techniczną nie ma najmniejszego problemu - dodaje pracownik.*

*W skali całego Podkarpacia tylko jeden wójt - z byłego województwa przemyskiego - zwrócił się do nas o pomoc, mówiąc że nie ma żadnego kandydata na stażystę. Jednak wspólnymi siłami udało nam się znaleźć dwie osoby z sąsiedniej gminy - powiedział Jarosław Reczek dyrektor Biura Integracji Europejskiej Urzędu Wojewódzkiego.*

Jakie więc trzeba było spełniać kryteria by objąć posadę konsultanta? Zgodnie z wytycznymi rządu, kandydat musiał być tegorocznym absolwentem wydziału humanistycznego, posiadającym tytuł licencjata bądź magistra. Nie musiał znać języków obcych, mile natomiast widziana była umiejętność obsługi komputera.

Nasuwa się proste pytanie, które jak się okazuje nurtuje także władze poszczególnych gmin: czy osoby debiutujące w pracy będą miały wystarczająco dużo siły i sprytu, by stanąć twarzą w twarz z eurosceptykami? Czy ich retoryka będzie wystarczająco przekonująca by z tych na "nie", zrobić tych na "tak"? *Widzę tutaj wielką rolę samorządów - mówi Renata Szczepańska wójt gminy*

*Cisna. Musimy pomagać tym młodym ludziom w ich pracy. Nie są oni wysokiej klasy ekspertami, więc na pewno trudno im będzie się niekiedy przebić przez grad negatywnych postaw. Już teraz organizując spotkania wiejskie a także podczas spotkań w szkołach poruszamy tematykę unijną, mówimy o przystąpieniu do referendum - dodaje wójt Cisnej. Podobnie jest także na terenie innych gmin.*

Po raz kolejny jednak okazało się że ministerstwo zostawia gminy samym sobie. Faktycznie pensje konsultantów będą opłacane z rządowych pieniędzy, ale koszty zaadaptowania i wyposażenia pomieszczeń ponoszą gminy. *Skąd ja ma wziąć te pieniądze denervuje się - Renata Szczepańska wójt Cisnej. Będę musiała zrobić to kosztem innych wydatków. Przecież trzeba kupić komputer, biurko, krzesła, opłacić telefon i dojazdy pracowników, bo jeśli będą jeszcze kupować bilety, to z ich skromnej pensji niewiele zostanie - dodaje wójt.*

W gminie Cisna Centrum Informacji Europejskiej, znajdować się będzie w tym samym miejscu co Centrum Informacji i Promocji.

*Panie, po co te punkty, tylko pieniądze na głupoty wydają - odpowiada na pytanie o punkty informacji o UE, napotkany rolnik. Ale czy na pewno? W tej kwestii władze wszystkich gmin mówią jednym głosem - oczywiście że są potrzebne. Trzeba edukować w kwestii unii. Jeszcze za wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi, żeby nie informować. A jakie nastroje panują u mieszkańców powiatu leskiego? Szanse w integracji widzi szczególnie młodzież - bezproblemowe wyjazdy za granicę, studia na renomowanych uczelniach, praca w instytucjach europejskich. Unii boją się starsi mieszkańcy bieszczadzkich gmin. Kameralne gospodarstwa, raczej nie będą konkurencją dla unijnych rolniczych rekinów. Do tego dochodzi jeszcze jak np. w przypadku Cisnej program ekologiczny, który zakłada specjalną ochronę przyrody, a co za tym idzie pewne ograniczenia na przykład w działalności rolniczej.*

Najbliższe cztery miesiące będą sprawdzaniem, nie tylko dla młodych ludzi którzy podejmą prace w punktach informacyjnych, ale dla nas wszystkich. Dla rządu - czy przeprowadzone przez niego działania były wystarczające by przekonać obywateli do integracji. Dla kościoła - czy tak jak zapowiadał kardynał Glemp - nie agitował, ale zapewniał o konieczności pójścia do urn. Dla samorządów - czy mimo pustki w kasach udało im się stworzyć odpowiednie warunki dla stażystów i na tyle wesprzeć ich działania by skutecznie dotrzeć do lokalnej społeczności. Wreszcie dla zwykłego Kowalskiego, który podejmując czerwcową decyzję przed własnym sumieniem będzie musiał odpowiedzieć na pytanie czy jest w pełni świadomy zagrożeń i korzyści płynących z wejścia naszego kraju do struktur unijnych.

Najlepszym arbitrem w biegu do unii będzie czas. Jeśli referendum się nie powiedzie, to dogrywkę zrobi sejm, który ostatecznie postawi kropkę nad "i".

**Grzegorz Bończak**



Wetlina - Cisna - Baligród - Lesko, to znaczniejsze miejscowości nanizane na południowo-zachodnią nitkę wielkiej bieszczadzkiej pętli. Jeśli do tego zestawu dołączyć jeszcze Sanok leżący na trasie wiodącej w głąb kraju, łatwo zauważyć pewną prawidłowość. Wystarczy posłużyć się rozkładem jazdy autobusów PKS: plus-minus półgodzinny dystans między każdą z miejscowości. Ta regularność, ten kilometrowo-czasowy rytm, powtarzalność współzależnego schematu czasu i odległości kiedyś czemuś służyła. Dziś służyć przestaje.

Dystans przemierzany w pół godziny przez kursowy autobus odpowiada odcinkowi, który ongiś wozem czy saniami dało się pokonać bez zamęczenia konia czy znużenia woźnicy. Dystans na miarę czasu, gdy zziębnięty chłop lykiem gorzały musiał się rozgrzać dystans, który uparty piechur był w stanie spokojnie w ciągu dnia tam i z powrotem przemierzyć, dystans, w którym na obu jego krańcach można się było posilić, rozgrzać, czy ochłodzić, a jeśli trzeba, to i na nocleg liczyć.

Układ uświęcony wiekami praktyki przestał odgrywać istotną rolę wraz z pojawieniem się samochodu. Pierwszym ciosem weń wymierzonym było wprowadzenie publicznej komunikacji autobusowej, kolejnym zaś, również podważającym sens jego istnienia - i dotyczy to dnia dzisiejszego - masowa motoryzacja. Motoryzacja schemat ten nie tyle zniszczyła, co zlekceważyła, czyniąc go zwyczajnie zbędnym. Powoli, powoli, choć w codziennej skali niedostrzegalnie, a przecież coraz szybciej, tracą na znaczeniu miejscowości położone pośrednio między krańcowymi punktami podróży. Dziś przybysz z głębi kraju jedzie z... do... Którędy? To zależy od tego którą króć, którą szybciej, którą bezpiecznie, którą wygodniej. A którą konkretnie, którą w sensie miejscowości przez które przejeżdża? To akurat z jego punktu widzenia najmniej istotny problem.

Z reguły, z przyzwyczajenia, z nawyku jazdy na pamięć wielką bieszczadzką obwodnicą jedzie do Cisnej, do Wetliny, ewentualnie dalej, ewentualnie w bok. Jedzie przez Lesko, przez Hoczew, przez Baligród. Istotą podróży jest "do", zaś "przez" nie ma znaczenia. Miejscowości zaszeregowane do grona tych, które są traktowane "przez", schodzą na dalszy, odległy plan zainteresowań. I mają tego świadomość. Albo też nie mają, co znaczy, że wyobraźni im nie starcza, albo też instynkt samozachowawczy. Reakcje podejmowane w geście samobrony mają bardzo różny wymiar. Mówiąc prościej - jedne lokalne środowiska są aktywne, inne są bierne.

Lesko przyjęło postawę czynną. Okrzyknęło się bramą w Bieszczady. W sensie praktycznym brama przyjęła postać funkcjonalnego ronda. To właśnie przed nim turysta jadący z głębi kraju podejmuje ostateczne decyzje, od której strony Bieszczady ugryzie; czy zdecyduje się na wjazd od strony północno-wschodniej, od Leska, Olszanczy, Ustrzyk Dolnych, czy też od zachodu, od Hoczwi, Baligrodu, Cisnej. To tu, przed znakiem informującym o ruchu określonym decyduje od której strony o Jezioro Solińskie zahaczy: od północy, od Leska, Uhercz, Soliny, czy od zachodu, od Hoczwi, od Polańczyka. Lesko dobrze wie o czym myśli zmotoryzowany turysta przed rondem, wie i dlatego swą strategię rozwoju ukierunkowało na zdobycie przybysza. Na zdobycie pod dwoma różnymi postaciami: chwilową i trwałą. Na pozyskanie go choćby na moment i pozyskanie na stałe, w sensie całych wakacji czy całego weekendu, czyli całego czasu jaki na wypoczynek przeznaczyci. Tyle mówi strategia, ale konkretny turysta już nie tyle ze strategią, co z turystyczną leską taktyką ma do czynienia. Kusi do zatrzymania całodobowa stacja paliwowa, kusi supermarket w powiatowej skali, kusi świeże, ciepłe, pachnące pieczywo, lody pod kolorowymi parasolami, przyciąga ośrodek informacji turystycznej. Do dłuższego pobytu zachęcają hotele i campingi, dostęp do koni przygotowanych pod wierzch, trasy rowerowe, wyciągi narciarskie. Kusi szeroka gama oferty Bezmiechowej i Weremienia, wsi, które

powoli stają się rekreacyjnymi dzielnicami miasteczka.

Położona na 8 kilometrze od Leska Hoczew pamięta o turystach, ale preferuje zupełnie inny sposób oddziaływania na przybysza z głębi kraju. Poboższe szosy przebiegające przez miejscowość tonie w gąszczu tablic informacyjnych i czysto reklamowych. Wszystkie uwadze turysty polecają strefę wielkiej bieszczadzkiej wody - tamtejszą białą flotę, tamtejsze restauracje, pensjonaty, campingi. Wszystkie odsyłają gdzieś dalej - poza Hoczew. Natrętne, czytelne, znakomicie zza szyby samochodu widoczne. Wystarczy je za kierownicą wbić sobie w głowę i już wiadomo, że nie ma się po co w Hoczwi zatrzymywać, już wiadomo dokąd i po co należy jechać dalej. Byłe dalej stąd. O hoczewskiej, najsłynniejszej w Bieszczadach galerii Zdzisława Pękalskiego ani słowa, o izbie regionalnej w dawnej popówce także, o fredrowskich związkach z wsią nikt niczego po drodze się nie dowie, podobnie jak o śladach średniowiecznego grodziska. Najbliższe otoczenie Hoczwi też pozostaje ziemią nieczyją i nieznana. Nie rozpoznana i nierozpoznawalna, jak choćby pobliski Dziurdziów z cerkwią, w której regularnie odprawiane są msze w prawosławnym obrządku, z dworem, obecnie do dawnej świetności przywracanym, jak choćby rzeka za południowymi opłotkami Hoczwi z rezerwatem przyrody "Progi skalne na Hoczewce". Hoczew beśmysłnie przyjęła rolę niemiego drogowskazu odsyłającego turystę wprost nad Solinę. Wsie otaczająca zachodni węzeł spinający wielką i małą obwodnicę bieszczadzką, czyli węzłowo w schemacie bieszczadzkiej drogi położona, odchodzi w zapomnienie, choć leży w granicach tej samej leskiej gminy, w której dobrze wiedzą jak i czym się turystę łapie.

Baligród już z daleka, z rozłożystego zakrętu za Mchawą sygnalizuje swą obecność widokiem wysokiej wieży nowego kościoła. Baligród, siedziba gminy, to problem sam w sobie. Problem pojemny, wielowarstwowy, przez kolejne władające gminą ekipy uświadomiony, zdiagnozowany, a jednak dotąd nie ruszony. Nie ruszony w sensie koncepcji, nie ruszony w sensie pomysłu. Telefonizacja, gazyfikacja, wodociąg, obecne prace nad kolektorem sanitarnym i oczyszczalnią ścieków. Tak, tedy do przyszłości droga, tak właśnie te ułatwiać życie, a i dając wyraz dbałości o ekologię działania trzeba realizować, ale nie jest to akurat to, co turystę przyciągnie. To wszystko jest dopiero podbudowa, tworzeniem warunków do przyciągania turysty. To świadczy o tym, że perspektywicznie się myśli, ale na dziś, właśnie na przeżycie do jutra, pomysłu brakuje. A przecież stąd, począwszy od północnego skraju, od rozległego parkingu przy wojenno-powojennym cmentarzu wojskowym, przez stary baligrodzki kościół, przez kamień upamiętniający męczeńską śmierć polskich obywateli tego bieszczadzkiego mikromiasteczka, przez zgrzyzoną żębem czasu martwą grekokatolicką cerkiew, będącą świadectwem dawnej obecności drugiej strony narodowościowego konfliktu, przez reprezentacyjny budynek zajmowany ongiś przez sztab pułku uganianego się po okolicznych drogach i bezdrożach za sotniami Ukraińskiej Powstańczej Armii, przez poświęcony poległym żołnierzom obelisk usytuowany na południowych rubieżach miejscowości, aż po pobliskie znane w całym kraju Jabłonki z generalskim pomnikiem, wiedzie szlak nasycony koncentratem historii, króciutki szlak eksponujący bieszczadzką epopeję lat 1944-47. Na razie Baligród - jeśli przyjeżdżny turysta w centrum przy pomniku wozu się zatrzyma i przy okazji rzuci okiem na tablicę stanowiącą główny element promocji gminy - jawi się, z wyblakłych kolorowych zdjęć jako miejscowość otoczona górami. Zielonymi w lecie i białymi w zimie. Nic poza tym.

Przed Hoczwią taka przyszłość stoi, jaką sobie mieszkańcy wsi wykoncypują, o jaką potrafią walczyć na swym gminnym forum w Lesku, jak silny lokalny lobbng potrafią zbudować. Baligród wszystko ma w swoich rękach, sam sobie władzą, która może sięgnąć do odziedziczonej po poprzednikach strategii rozwoju, ale równie dobrze może sięgnąć do nie przykurzonych jeszcze własnych wyborczych hasel. I w Baligrodzie, i w Hoczwi można ruszyć głową, albo - co ruchu nie wymaga - pogodzić się z tym, że bieszczadzki turysta od Leska do Soliny czy Cisnej niczego po drodze nie zauważy.

Jakub Demel



## Polskie tradycje kulinarne

# RYBY

Współczesny Polak "zgoniony za groszem jak mrówka" nie ma zbyt wiele czasu na przygotowywanie odpowiednich posiłków i dlatego często zadawała się takimi potrawami jak hamburger, pizza, czy też hot-dog, które nie tylko, że nie zdrowe to jeszcze z naszą narodową tradycją nie mają nic wspólnego. Może trudno w to uwierzyć, ale jeszcze kilkaset lat temu głównym źródłem pożywienia dla naszych przodków były owoce rzek, jezior i mórz.

O popularności tych produktów i umiejętnościach naszych rodaków niech świadczy wspomnienie francuskiego inżyniera Wilhelma le Vasseur Beauplana. Ten specjalista od umocnień i fortyfikacji, który w latach 1631-1648 prowadził prace inżynierskie na Podolu i dalszych kresach Rzeczypospolitej nie był wielbicielem polskiej kuchni. W swoich zapiskach nie omieszczał jednak pisać, że:

*"... jest coś, w czym Polacy bardzo nas przewyższają: co się tyczy ryb, znają się na nich cudownie, przyrządzają je tak znakomicie, że u najbardziej przejeżdżonych ludzi budzi się na nie apetyt. Przewyższają w tym wszystkie narody, a nie jest to jedynie moje zdanie, lecz sądzą tak Francuzi i inni cudzoziemcy, którzy byli u nich podejmowani..."*

Mam nadzieję, że ten zapis dokonany przez Francuza prawie cztery wieki temu stanie znów aktualny. Tradycja spożywania ryb jest na terenie naszego kraju tak stara jak dzieje człowieka, dopiero jednak po wprowadzeniu chrześcijaństwa obowiązujące w nim posty sprawiły, że ryby stały w pewnych okresach absolutnie niezbędne. Niekwestionowanym symbolem postu i to zarówno na stołach w królewskim pałacu jak i w kmieć chacie był śledź, ryba która gdyby nie powszechna dostępność i niska cena mogłaby dzięki swoim walorom smakowym spełniać rolę największych frykasków, za jakie wielu dziś uważa np. kawior z jesiotra. O wadze przyklądanej do śledzi przez kościół katolicki niech świadczy decyzja papieża Aleksandra III, który w roku 1164 pozwolił skandynawskim rybakom na połowy śledzi nawet w dzień świąteczny, jeżeli w tym dniu pojawiły się śledziowe ławice. Dostępność tej ryby już w dobie piastowskiej była w Polsce powszechna. Bezczy solonych śledzi można było spotkać praktycznie w każdym zakątku kraju a nadziewane po 30 sztuk na drewniane różną i wędzone stanowiły wielki przysmak. Dowodem na to jak ogromne ilości śledzi znajdowały się na polskim rynku jest zapis w Kronice Jana Długosza mówiący o tym jak to Klemens Małopołanin chcąc zapewnić klasztorowi w Jędrzejowie dostatek ryby zobowiązał kupców do dostarczania mu po jednym śledziu z każdej dostarczonej do miasta beczki. Wiek XVI to okres wielkiego rozkwitu handlu rybnego w Polsce a zwłaszcza we Lwowie. Kupcy z tego miasta dostarczali ryby do miejscowości na terenie całego kraju a dokumenty mówią o wielu filiach mieszczących się między innymi w Busku, Jaworowie i Łucku. Powszechność spożycia ryb stymulowała rozwój rodzimej hodowli poprzez liczne przypadki zakładania nowych stawów i sadzawek. Już w XVI wieku znane były książki uczące hodowli ryb, jak chociażby kilkakrotnie wydawana "Dubrowiusza Janusza o rybnikach i rybach ksiąg pięciore, z przydatkiem Joachima Camerariusza Medyka Norymberskiego w Krakowie" w tłumaczeniu z łaciny Andrzeja Proga czy Olbrachta Strumińskiego "O sprawie, sypaniu, wymierzaniu i rybnieniu stawów i t.d.", która to pozycja obejmowała wszystko, co wówczas wchodziło w zakres gospodarki stawowej. Również w literaturze nader często występowały opisy

zwyczajów postnych i sposobów przyrządzania ryb. Żyjący na przełomie XVI i XVII wieku piewca życia ziemiańskiego Kasper Miaskowski tak oto opisywał post:

*"Co gotują? Węgorze, śledzie, szczuki w soli, Wizinę, losoś, karpie, brzuchom na post gwoli, Ci nie myślą potężnie z ciałem wstąpić w.szranki, Ale kuflem dwuuchym chcą szlamować dzbanki; Bo jako to nie mogło nigdy być bez wody, Niż co z niej wyciągnęły konopne niewody; Tak po śmierci solone brzydzą się nią zasię, Ale piwo i wino każą nosić na się."*

Zaś u Faustyna Świdarskiego czytamy:

*"Czterdzieści dni jak obszył będziesz z nami pościł, Niejeden się na Ciebie będzie bardzo złościł."*

Nie tylko post, ale również adwent i Wigilia Bożego Narodzenia nieodłącznie kojarzone ze spożywaniem ryb zwłaszcza śledzi znajdowały odbicie w rodzimej literaturze. Kazimierz Laskowski w ostatnich latach XIX stulecia wspominał świąteczny czas w Warszawie:

*"U Błażeja na Tamce przeszły święta aż miło, Były śledzie pierniki i napitków w bród było."*

Kolejny fragment pochodzi z utworu M.C. Mączyńskiej:

*"A tym czasem na kryształe Król śledź zasiadł okazał {...} Bo za śledzia jegomości Cały naród ściśle pości, Są i jaja i oliwa, a śledź bładą twarzą kiwa."*

Począwszy od końca XVII wieku stopniowo następowały zmiany w sposobie połowów śledzi, jak również w sposobie ich przetwarzania. Odławianie coraz lepszych gatunków śledzi i wymyślanie bardziej wyrafinowanych sposobów ich przyrządzania sprawiły, że zagocili one na stołach zarówno plebejskich jak i królewskich. Do naszego kraju zaczęły napływać duże ilości śledzi z zagranicy a zwłaszcza z Holandii. To Holendrzy właśnie jako pierwsi rozpoczęli solenie młodego 2-3 letniego śledzia, jeszcze przed rozpoczęciem tarła. W ten sposób powstał do dziś w Polsce bardzo popularny "maties", którego nazwa pochodzi od holenderskiego słowa "meisje" czyli dziewczyna. Trudno znaleźć dziś zakątek na ziemi, w którym nie są znane potrawy śledziowe. Świadczą o tym chociażby nazwy potraw. I tak znane są śledzie po: francusku, norwesku, tatarsku, turecku, bułgarsku, fińsku, grecku, libańsku, szwedzku, duńsku, egipsku, japońsku, żydowsku i polsku. Bogata oferta potraw ze śledzi powoduje, że i w dzisiejszych czasach tradycja jedzenia śledzi i to nie tylko w okresach świąt chrześcijańskich jest bardzo rozpowszechniona. Smażone, marynowane, w oleju czy też w różnego rodzaju sałatkach stanowią niewątpliwą ozdobę stołu. Prawdziwi smakosze przygotowujący śledzie mają jednak swoje tajemnice. Wszystkim polecam wyjątkowy smak śledzi w oleju wcześniej przez kilka godzin wymoczonych w mleku lub w piwie. I na koniec fragment "Ody do śledzia" cytowanego już dziewiętnastowiecznego miłośnika tej ryby Faustyna Świdarskiego znanego pod pseudonimem "Ex-Bocian":

*"O Ty! Nędzny biedaku, śledziu wymoczony, Co dziś wszystkie ozdabiasz izby i salony {...} Wymoczywszy dwie doby jedzą panny, panie Przyjmij hold Ci należy i uszanowanie."*

Powyższe wywody świadczą niezbicie, że Polacy od wieków kochają śledzie i inne ryby. Weszły one na stałe do naszej narodowej tradycji i to nie tylko tej kulturowanej ostatnimi laty jako "zakąska do sety".

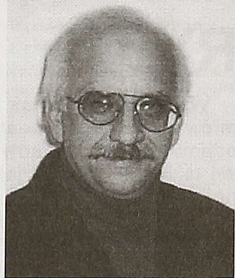


Rozmowy na początek kadencji

## Marek Scelina

## - starosta historyczny

Marek Scelina - starosta powiatu leskiego - zapisze się zapewne złotymi zgłoskami w historii Leska choćby z tego powodu, że jest pierwszym wybranym przez radnych starostą po podziale powiatu bieszczadzkiego i utworzeniu nowego powiatu leskiego. Dlatego też przywiązuje do swoich działań na fotelu starosty ogromną wagę mając świadomość, że jego poczynania będą pilnie śledzone przez mieszkańców powiatu.



**Wiesław Stebnicki:** Panie starosto mam pan zapewne świadomość, że pańskie poczynania, przynajmniej w początkowym okresie będą pilnie śledzone przez leszczan. Czy wobec tego układ jaki istnieje w radzie będzie panu sprzyjał, czy też nie.

**Marek Scelina:** Skład rady jest sprzyjający sprawowaniu tej funkcji lecz nie da się ukryć iż mogą zaistnieć pewne konflikty interesów. Komitet który stworzyliśmy na czas wyborów wygrał je stosunkiem głosów 11 do 4, jednak nieco później kilka osób zaczęło się od nas dystansować. Był to komitet bardziej obywatelski niż partyjny, dlatego też od początku liczyłem się z taką możliwością. Mam nadzieję, że łącząc nas będzie jednak sprawa bliska nam wszystkim czyli sprawa umacniania tego nowego powiatu i wykazania, że decyzja o jego utworzeniu nie była błędem.

**WS:** No właśnie, już w dużym powiecie bieszczadzkim widać było, że istnieje konieczność podkradania pieniędzy z subwencji oświatowej czy też drogowej by utrzymać administrację, a jak to wygląda u was?

**MS:** To problem nie tylko naszego powiatu, błąd popełniono przystępując do reformy administracyjnej i nie przewidując jakiś środków na utrzymanie samego starostwa. Miały na to wystarczać w głównej mierze dochody własne tych jednostek administracyjnych. Niestety w tak słabo zamieszkałych i biednych gospodarczo powiatach dochody własne to znikomy procent w budżecie. W powiecie leski stanowią one będą od 2,5 do 5 %, to niewiele choć jak mi wiadomo w powiecie bieszczadzkim będzie to jeszcze mniej. I co najgorsze nie ma w zasadzie zbyt wielkich możliwości zwiększenia tego typu dochodów.

**WS:** Komu więc skubnie pieniądze na utrzymanie starostwa?

**MS:** Jestem z zawodu nauczycielem i znam misję finansową oświaty. Przyjmuję więc zasadę, że subwencja oświatowa idzie w całości do szkół ponad podstawowych. Pieniądzy i tak będzie brakować bowiem mimo wzrostu ilości uczniów, podwyżek pobrań dla nauczycieli subwencja ma być mniejsza w porównaniu z rokiem poprzednim o około 200 tysięcy zł. Rok temu nowo tworzony powiat ratował się kredytem, szukano oszczędności w redukcji zatrudnienia w obsłudze oświaty zwalnialiśmy 23 osoby i tworząc wspólny dla wszystkich szkół średnich zespół obsługi szkół, stworzono też wspólną księgowość, zlikwidowano jeden internat. Mimo tego pieniędzy znowu może braknąć, a więc również i w tym roku trzeba będzie obejrzeć dokładnie każdy grosz wydany na oświatę, no i oczywiście monitorować ministerstwo, władze wojewódzkie o wszelkie możliwe dodatkowe środki.

**WS:** W dalszym ciągu starosta wymyguje mi się od odpowiedzi, gdzie znajdzie pieniądze na administrację?

**MS:** Nie wymyguje się bo przecież wiadomo, że gdzieś je muszę znaleźć. W ubiegłym roku starostwo ratowało się kredytem na ten cel w wysokości 250 tysięcy zł, no i uszczupliło subwencję drogową oraz posiliło się własnymi dochodami. W tym roku będzie podobnie, bo też inaczej być nie może chcę jedynie zrezygnować z kredytu na ten cel.

**WS:** Wspomniał starosta o subwencji drogowej, na jaki cel pójdzie bo słyszałem, że powiat czeka ogromna inwestycja drogowa związana z modernizacją odcinka dużej petli bieszczadzkiej z Huzel do Cisnej?

**MS:** To prawda, jednak oczywiście inwestycja ta realizowana będzie z pieniędzy Generalnej Dyrekcji Dróg Publicznych, powiatu nawet

dużo bogatszego niż leski nie było by stać na taki zakres robót drogowych. Chcemy jednak maksymalnie wykorzystać czas realizowania tej inwestycji do przebudowy lub modernizacji wielu odcinków dróg powiatowych graniczących z dużą pętlą. Będzie też okazja do przebudowy przeustopów drogowych. Ponadto staramy się o pieniądze z SAPARD, które przeznaczylibyśmy na remont generalny drogi Bukowiec-Dołżyca łączącej małą pętlę bieszczadzką z dużą pętlą. W budżecie przewidziano 1,2 mln zł. na drogi, w kwocie tej są też pieniądze na zimowe utrzymanie dróg. Nie jest to wiele i mamy świadomość, że musimy tutaj intensywnie zabiegać o dodatkowe środki. By racjonalnie wydać te pieniądze niezbędna jest ścisła współpraca starostwa z gminami powiatu leskiego. Jeśli chodzi o drogi to wspomnę też o tym, że chcemy poprawić warunki dojazdu z Cisnej do Roztok. W Roztokach Górnych w lecie uruchamiane jest jedyne w powiecie turystyczne pieszce przejście graniczne ze Słowacją. Naprawienie tej drogi być może umożliwiło by w przyszłości zwiększenie rangi tego przejścia granicznego. Będziemy to robić we współpracy z gminą Cisna.

**WS:** Powiat sprawuje pieczę na d służbę zdrowia, mimo iż nie ma wielkiego wpływu na kwoty jakie płyną do placówek służby zdrowia z Kas Chorych. Stan finansowy ZOZ-ów nie jest najlepszy, jak to wygląda w Lesku.

**MS:** Szpital w Lesku podobnie jak w większości powiatów województwa podkarpackiego jest zadłużony. Wydaje się jednak, że w chwili obecnej rysuje się szansa na to by wyjść z tego kryzysu. Wprawdzie trzy oddziały leskiego szpitala są jeszcze stale pod kreską, ale jeden powoli wychodzi na zero, a oddział dziecięcy przynosi zyski. Problem w tym, że na szpitalu ciąży prawie 2 milionowy dług. Starostwo prowadzi rozmowy z wszystkimi pięcioma gminami powiatu w sprawie oddłużenia szpitala. Zarówno starostwa jak i gminy poręczyły by kredyty, który pozwolił by szpitalowi pozbyć się długów. Zrobimy to gdy będziemy mieć 100 % pewność, że działalność szpitala nie przynosi już strat, a jak wcześniej wspominałem szansa taka jest. Dla mnie osobiście sprawa uzdrowienia służby zdrowia jest szczególnie ważna bo w zasadzie nie wyobrażam sobie tego by mogło w Lesku dojść do likwidacji szpitala.

**WS:** Powiat leski powstał z podziału powiatu bieszczadzkiego w otocze sporów, waśni wzajemnych animozji i oskarżeń. Czy wyobraża Pan sobie współpracę z Ustrzykami i jak ona będzie wyglądać?

**MS:** Prawdę mówiąc nie zastanawiałem się na razie jak ta współpraca będzie wyglądać, jedno jest natomiast pewne, że współpraca taka będzie na pewno istnieć. Mimo iż jesteśmy dwoma niezależnymi jednostkami administracyjnymi to obejmujemy swoim obszarem jednorodny region jakim są Bieszczady. Choćby z tego powodu musimy razem współpracować. Myślę, że będzie to np. niezbędne przy próbach zdobycia środków pomocowych z Unii Europejskiej. Będzie to potrzebne przy niektórych inwestycjach drogowych. Wspólnie powinniśmy prowadzić działania promujące region zarówno w kraju jak i poza jego granicami. Jestem zdania, że dopiero teraz ta współpraca może się dużo lepiej układać. Jeśli zaś chodzi o naszego zachodniego sąsiada czyli powiat sanocki, to również widzę możliwości wspólnych działań, choć bardziej przypominać to może działania Dawida z Goliatem.

**WS:** Dziękuję za rozmowę.

Przedruk z "Podkarpacia"



# Samo przez się

Każdy kiedyś na własnej skórze odczuł dziecięcą dociekliwość. A co, a jak, a dlaczego? A skąd się to wzięło, a co z tego będzie? Pytania o przyczynę i o skutek. Pytają, pytają dzieciaki, póki nie wyrosną. Potem przestają. Dorosli bowiem wiedzą, że wiele rzeczy robi się samo.

Specjalistą od tego, co robi się samo jest Przemysław Ołdakowski. Zamysł tego, co ma zrobić się samo, za każdym razem kielkuje w nowoczesnie zaaranżowanym pawilonie, zlokalizowanym na wschodnim krańcu parterowego kompleksu handlowo-usługowego, znanego w Lesku pod swą zwyczajową, pochodzącą z lat 30-tych ubiegłego wieku nazwą: "Pod budkami". Niewielka zatoka parkingu, tło żółtej ściany miejskiego ratusza, tazy obok pod okapem dachu niskiego pawilonu rzucają się w oczy zielona tablica: Bieszczadzkie Centrum Informacji Turystycznej. A w środku Przemek.

Treść szyldu prawdę i nieprawdę wyraża. Jest prawdziwa, bo w pełni oddaje rzeczywiste przeznaczenie obiektu mieszczącego tę właśnie instytucję, nieprawdziwa - bo nie do końca informuje o tym, co tu naprawdę się dzieje. W ramach prawdy obiektywnej, czyli nominalnego charakteru "Centrum", pracuje się tam nad tym, co można oddać sensem dziecięcych pytań. W drugim - zatajonym przez szyld - zakresie pracuje się tam nad tym, żeby coś mogło działać się samo.

BCIT będący agendą miejskich władz samorządowych, czyli mówiąc urzędniczym językiem - Urzędu Miasta i Gminy w Lesku, formalnie rzecz biorąc jest instytucją o nieskomplikowanych zadaniach o charakterze usługowym, nastawioną na spełnianie oczekiwań turystów zainteresowanych Leskiem i Bieszczadami. W tym sensie zakres kierowniczych obowiązków Przemysława Ołdakowskiego w tym jednoetatowym biurze plasuje się w kategorii najprostszych z możliwych. Ma wiedzieć, gdzie są stacje benzynowe, gdzie hotele i gospodarstwa agroturystyczne, które wyciągi narciarskie funkcjonują, a które cierpią na brak sniegu, jak kształtuje się cennik biletów białej floty i o której odchodzi kolejka z Cisnej do Przyszlupia. Tyle, a czasem trochę więcej. Tylko trochę, niczego ponadto urzędniczy obowiązek nie wymaga. Od jego dobrej woli zależy, czy wskaże turystę drogę do widocznej zza winkle synagogi i zamku skrytego w kępie starodrzewia. Jeśli ktoś grzecznie prosi o więcej, Przemek posiłkuje się komputerem, turystyczną mapą Bieszczadów albo sięga po własny zeszyt, który jest mądrzejszy od mapy i komputera. Właśnie ta sfera obowiązków pokrywa się z ideą dziecięcych pytań, tu wszystko wiąże się w spójną całość, tu jedno z drugiego wynika, tu nic nie dzieje się samo.

Praca nad tym, by coś - cokolwiek - mogło zaistnieć samo jest o wiele bardziej absorbująca, jej czynności składowe są z zewnątrz niedostrzegalne, zaś skutki nie są w powszechnym odbiorze wiązane ani z osobą Przemka, ani z biurem BCIT. Nie znaczy to jednak wcale, że ten zakres działań ma charakter tajny. Wręcz przeciwnie, właśnie z tymi pracami Ołdakowski wychodzi poza służbowe cztery ściany, bierze kule i gramoli się z wygodnego fotela w strony świata odległe od własnego biurka. Jeśli jest w terenie, jeśli w Bieszczadach jest go pełno, jeśli kursuje między Leskiem a zagubioną w górach wioską, czasem Warszawą, Krakowem, Budapesztem, Lwowem, czy Bratysławą, to znaczy, że właśnie intensywnie pracuje nad tym, by coś w Bieszczadach mogło działać się samo.

Przykłady? O to nie trudno. Przykłady mają swój smutny rodowód, biorą się stąd, że po pierwszych kontaktach z pierwszymi klientami-petentami BCIT-u zabrakło Przemkowi odpowiedzi na ostatnie z serii rytualnych pytań. Rutynowo, wręczając turystę leski folder, nadmieniał: proponuję obejrzeć zamek, kościół, kirkut i synagogę. Natrafiając na pytające spojrzenie dodawał: jeszcze źródła, sowieckie bunkry i wojskowy cmentarz z 1916 r. Gdy zalegała kłopotliwa cisza, a po nim owo finałowe pytanie: i co jeszcze?, brakowało już odpowiedzi. I w takich momentach zaczynał się wstydzić. Za siebie, za miasto, za sto lokalnych związków, organizacji, stowarzyszeń, które razem wzięte niczego dotąd do spreparowania prawdziwej oferty turystycznej od siebie nie dały. I wtedy zabrał się za to, by się więcej wstydzić nie musiał. Zabrał się za to, żeby coś wreszcie zaczęło działać

się samo.

Najpierw były rowery i młodzież, która chciała na nich jeździć, i człowiek, który chciał się dzieciarnią zająć. Ścieżki wokół miasta przemieniły się w szlaki, po związaniu utworzyły trasę. Oznakowaną, opisaną, rozpropagowaną. Ludzi, którzy się tym zajęli, śmiało już można było zespołem nazwać. Pilotażowy leski program rozrósł się w kompleks szlaków obejmujących wszystkie bieszczadzkie gminy, angażując lokalnych zapaleńców w najdalszych zakątkach regionu. Przedsięwzięcie pod wspólną nazwą "Zielony rower", będące fragmentem szerszego programu "Greenway Karpaty Wschodnie" realizowanego pod szyldem krakowskiej Fundacji "Partnerstwo dla środowiska", było motorem przemian w stosunkach ustrzycko - leskich, poza konfrontacyjnym nurtem sporu o powiat czy powiaty. BCIT i ustrzyckie Bieszczadzkie Towarzystwo Cyklistów na polu przygotowania normalizacji stosunków mają swe wymierne zasługi, znaczy to zresztą tyle, że i owo wzajemne otwarcie nastąpiło samo, albo też - samo przez się. Rowery były narzędziem, szlaki były narzędziem, podobnie jak ich wytyczenie, oznakowanie, opisanie, praca nad wydaniem mapy i folderów podkreślających rangę przedsięwzięcia i przekazujących całość dzieła we władanie turystów. To były narzędzia, zbiór narzędzi potrzebnych do tego, by temu co zwykle dzieło się samo nadać jeszcze większego impetu. "Zielony rower" prócz wymiennego w sensie oferty turystycznej znaczenia praktycznego miał i drugie - wcale nie mniej istotne. Posłużył bowiem do wyłonienia i sprawdzenia w działaniu lokalnych liderów potrafiących w swe społeczności, w najbliższe swoje otoczenie tchnąć życie dotąd w bezruchu zastępe.

Umowne "rowery" pęczniały, obstratały przedsięwzięciami odległymi od kręcenia pedałow, inicjatywami o niezwykle zróżnicowanym charakterze: bojkowską chatą, integrującą lokalne środowisko, bibułkarstwem, którym sąsiad od sąsiada się żarzał, garnarską fascynacją glinianym tworzywem i wypalnymi caczskami. A wokół każdego z tych przedsięwzięć ludzie, ludzie i ludzie. Nasi, tutejsi, bieszczadzcy, wewnątrz tego, co się tu dzieje, wewnątrz tych wszystkich wymyślnych przemian; i zachwyceni przybysze, turyści, stanowiący zwarty krąg gapiów i nabywców - konsumenci lokalnego produktu turystycznego. Gdy zespół, gdy wiele zespołów, nad sprawą, nad wieloma sprawami pracuje, to znaczy, że wszystko zaczyna się już samo toczyć. Tocchić w dobrym, pożądanym kierunku. Rozproszenie inicjatyw, docenianie niczym nie krepowanej inwencji, dostrzeganej wszędzie tam gdzie znaleźli się gotowi do działania ludzie umownym "Zielonym rowerem" złączeni, zrodziło pokusę, czyli stało się inspiracją do tego, by z elementów stworzyć pakiet.

Ziarno rzucone w Bieszczady wykiełkowało. Przyszedł czas, by rewanżu poczynić dokonać, by lokalne inicjatywy zestawzić, porównać, położyć ze sobą, albo posegregować. I to co dotąd było - i rzecz jasna jest nadal - elementem treści "Zielonego roweru", jak i wszystko to, co dotąd trzymało się na uboczu "rowerowego" projektu. To wszystko skatalogować, przygotować do prezentacji i wyeksponować, wszystkiemu co w Bieszczadach najlepsze, a co wyszło spod ludzkiej ręki, pomóc ujrzeć światło dzienne. Samym mieszkańcom Bieszczadów pokazać to, co za górą, za rzeką, co w sąsiedniej wsi, czy gminie powstaje i nauczyć pokazywać to turystom. Ołdakowski, który sprawił, że coś zaczęło działać się samo, pod szyldem swego BCIT-u wspólnie z Gminnym Ośrodkiem Kultury w Lutotwiskach w ramach kolejnego realizowanego projektu, tym razem firmowanego przez Fundację Karpacką, pracując nad powołaniem Centrum Promocji i Certyfikacji Produktu Lokalnego. Celem jest zinventaryzowanie wszystkiego, co wynika z tego, że coś potrafi stać się samo.

Jakub Demel



# Owsiakowe dzieci

Kraj w śniegu, Bieszczady w śniegu i mrozie. Niedziela, 12 stycznia, cała Polska koncertuje. Od rana do nocy trwa koncert Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy Jurka Owsiaka. W Lesku, jak wszędzie w kraju, młodzi ludzie ze skarbonką uwieszoną u szyi stoją, przytupują, spacerują, by z ruchu choć trochę ciepła wykręcić. Chuchają w zgrabięte palce, które muszą być na tyle sprawne, by darczyńcę Orkiestry czerwonym serduszkami udekorować. Serduszkami, bo ofiarodawcy z potrzeby serca groszaki w puszkę wrzucają, serduszkami, bo z potrzeby serca wolontariusze brodząc w śniegu, miasteczko od krańca do krańca przemierzają. Brzęczący uropek przemienioniu zostanie w spręt medyczny ratujący dziecięce życie.

Od tygodnia media ogłaszały tę niedzielę dniem narodowego popołudniowego ruszenia. Podsumowano dorobek poprzednich dziesięciu lat, mówiono o tym, co nastąpi. Telewizja na bieżąco relacjonowała ten jednoczesny szlachetny festyn rozrzucony od Bieszczadów po Bałtyk. Przed kamerami stały obłepione serduszkami dzieci i mówiły: tak trzeba. Stały zgarbione staruszki i te same słowa do kamery kierowały.

Te same media w tym samym czasie relacjonowały przebieg akcji protestacyjnej pracowników śląskiej służby zdrowia okupujących katowicką siedzibę kasy chorych. W tę właśnie niedzielę do strajkujących dołączyli stali pacjenci, którym potrzebę stałych dializ Kasa w wątpliwość poddaje. I wątpliwości dej nadaje materialny wyraz, przykręcając kurek z pieniędzmi. W tym czasie Owsiak i Owsiakowe dzieci na ulicach miast całej Polski datki do puszek zbierały.

Te same media, w okołoorkestrowym czasie, przez kilka dni ministerialną farsę z lekami za złotówkę publicznie w szczegółach przedstawiały. Mówili dziennikarze, mówili lekarze, mówili farmaceutyci, mówili producenci i hurtownicy. Mówili. Minister też mówił; z uśmiechem. W tych właśnie dniach Owsiak i Owsiakowe dzieci szły w identyfikatory, puszkę i serduszką do kwesty się szkując.

Te same media, w te same styczniowe dni, kibicowały walbrzyskiemu szpitalowi dziecięcemu. Gorliwie kibicowali, bo i było czemu: zdąży się zrobić lokalną ściepę na opał, czy też wcześniej mali pacjenci zamierzali w szpitalnych łóżeczkach. Przetrzymując noworodki ewakuację do Wrocławia czy nie przetrzymując, czyli prościej mówiąc, przeżyją czy nie przeżyją. Na marginesie tego skandalu pokazano inny, również walbrzyski: nowiutki, gotowy pusty szpital, od dawna jako pustostan ogrzewany. Puściutki, bo brakło pieniędzy na sfinansowanie przeprowadzki. W tym czasie Owsiak i Owsiakowe dzieci solidarnie marzyły na ulicach polskich miast.

Te same media w pierwszych dniach roku chwyciły temat ministerialnego urzędowego automobilklubu wyposażonego w służbowe Peugeoty. Nowiutkie. Z klimatyzacją. I słusznie, bo przemarznięcie zimą na zdrowiu ministra odbić się może, przegrzanie latem także. Przedstawiono argumentację szefa resortu: pojazd musi być nowy, co gwarantuje niezawodność techniczną, by na trasie przykrych niespodzianek nie sprawiał. Zasadnicze adresy, pod które najczęściej wyjeżdża, ministrowi jednym tchem udaje się wymienić: prezydent, sejm, premier. Z Miodowej pod pierwszy z adresów kwadrans spacerkiem, pod drugi 10 minut miejskim autobusem, pod trzeci 15. Owsiakowe dzieci brodząc w śniegu, ulice polskich miast przemierzają.

Z Leska i Baligrodu, z Wołkowyi i Polańczyka, z Ropienki i Stefkowej 75 wolontariuszy przekazało do centralnego sztabu Orkiestry 14 300 zł. Ani to dużo, ani to mało. Ani to wysiłek pracy, ani współzawodnictwo sportowe. Dar serca szacuje się wedle innych kryteriów.

Komu te góry Owsiakowych groszaków potrzebne, znoszone w ciężkich, nabrzmiałych od bilonu puszkach, zliczanych we wszystkich polskich miastach i miasteczkach? Przecież nie polskiej służbie zdrowia. "Super Nowości" za PAP-em piszą:

"Ministerstwo Zdrowia wygrało swego rodzaju konkurs na najbardziej gospodarny resort. W ubiegłym roku zaoszczędziło 116 000 000 zł. Tak wynika z podsumowania wydatków budżetowych wykonanych przez Radę Ministrów. Sumy tej jednak nie

zaoszczędzono na wydatkach administracyjnych. Aż 60 000 000 zł >>>uradowano<<<, nie przeznaczając ich m. in. na ...przeszczep".

Oczywiście. Można przeszczepu nie wykonać - oszczędność; można pacjentowi pośledniejszy lek zaordynować - oszczędność; można wcześniej wtyczkę aparatury reanimacyjnej z gniazdka elektrycznego wyciągnąć - oszczędność; można tzw. standardy tak opracować, by oszczędności rosły i rosły, można... Chwała za oszczędności czynione zapewne w interesie podatników. W interesie ich zdrowia i ich kieszeni. Tylko skąd potem w gazetach, skąd potem w ulotkach rozklejanych na murach, słupach i sklepowych witrynach, skąd potem na tekturowych tabliczkach zawieszonych na szyi zebrała czytamy apele skierowane do ludzi dobrej woli o finansowe wsparcie operacji, przeszczepu, czy zdobycia protez w zagranicznej klinice? Akcje, akcje, akcje... Akcje wpłat na bankowe konto, akcje ulicznych zbiórek, miseczka z groszaki przed kościołem i w ruchliwym punkcie miasta.

Akcje są społeczną odpowiedzią na resortową beznadziejność, na resortową rozrzućność, na resortową oszczędność. Akcje, akcje, akcje...

Nim terenowe ekspozytury Orkiestry Owsiaka skończyły liczyć lokalnie uciulane złotówki, minister na forum Senatu się produkował. Realizując rządowe wytyczne, z lwia zaciętością walczył o redukcję stawki na ubezpieczenie zdrowotne. Redukcję z 8 na 7,75 %. Sejm uchwalił wyższą, rząd domaga się niższej, minister - członek rządu polecenie premiera wypełnia. Pięknie to dziennikarzom komentuje: sercem jest z posłami, rozumem z rządem. Szkoda, że swej wypowiedzi nie poszerzył, że nie dodał jeszcze co czuje jako lekarz, a co jako pacjent. Rozdwojenie jaźni zostałoby wówczas przez dwa przemnożone. Parlamentarna bitwa o ułamki procenta eksperci od ekonomiki służby zdrowia przed telewizyjnymi kamerami skomentowali: czy ta stawka, czy inna w zestawieniu ze skalą zadłużenia kas chorych i szpitalnych długów, nie odgrywa istotnej roli.

Wszyscy uczymy się nowej ekonomii. Ale ta nowa jest stara jak świat. Wystarczy w kolejce pacjentów w przychodni lekarskiej ucha nadstawić, wystarczy przy okienku w aptece posłuchać. Tu ze starą ekonomią mamy do czynienia. Kupić lekarstwa, czy buty na zimę, bułkę, czy pigułki. Każdy z pacjentów, bez względu na to, czy biedny, czy bogaty, ma jeden portfel i w ramach jego zawartości gospodaruje, domowe dylematy finansowe rozstrzyga. Minister zdrowia o innej ekonomii ma pojęcie, z inną się styka, może przez robocze kontakty z nauczycielami akademickimi, profesorami Belką i Kołodką, może... W naszych portfelach są te same pieniądze na wikt i opierunek, na kształcenie i leczenie, na czynsz i rozrywkę. Portfel ministerstwa jak widać jest inny, albo też różne są w nim złotówki. Wyjawił to przy okazji dziennikarskiego pytania o resortowe samochody: "pieniądze na zakup aut nie były przeznaczone na leczenie - mówił Mariusz Łapiński". Że mówił, to jeszcze pół biedy, gorzej, że naprawdę tak myśli.

A Owsiak i jego dzieciarnia - nasza własna dzieciarnia jedenasty rok robią swoje. I chwala im za to. Nim tydzień minął, nadszedł czas nowej próby. Czas nowych prób. Nowy minister będzie testował społeczeństwo. Społeczeństwo przetestuje nowego ministra. Bez względu na wynik eksperymentów w dziedzinie polityki zdrowotnej państwa, za rok znów Owsiakowa orkiestra dać będzie w trąbę. Już po raz dwunasty.

Jakub Demel



# Ferie (nie) dla GORP-u

Pracowity ostatni tydzień ferii mieli ratownicy bieszczadzkiej grupy GORP. W poniedziałkowy wieczór w okolicach Falowej zabłądził młody turysta, a w czwartek w rejonie Komańczy zagubiło się dwóch nastoletnich chłopców i starszy mężczyzna. Obydwie akcje zakończyły się sukcesem, ale GORP-owcy zgodnie mówią że w obydwu przypadkach przyczyną zagubień był brak rozważni i przecenienie swoich sił.

W poniedziałek kilkanaście minut po 17. dyżurny ratownik z centrali GORP w Sanoku odebrał telefon od turysty, który poinformował, że opada z sił i nie wie gdzie się znajduje. Od razu w góry wysłano ratowników. Kiedy wyruszyliśmy na akcje w Bieszczadach panowały bardzo trudne warunki pogodowe; przy temperaturze -10 stopni wiał bardzo silny huraganowy wiatr, a ratownicy zmagali się z głębokim przewianym śniegiem. Jego pokrywa sięgała miejscami ponad metr, co prawie uniemożliwiało poruszanie się bez rakiet śnieżnych - relacjonuje wieczorną wyprawę Leszek Berezka ratownik bieszczadzkiej grupy GORP. Po kilku godzinach poszukiwań około 21.40 jeden z zespołów ratowników dotarł do poszukiwanego turysty którym okazał się 21-latek z Warszawy. Mimo lekkiego wychłodzenia i strachu którego najadł się młody mężczyzna, jego ogólny stan był dobry. Zdaniem ratowników GORP, młodzieniec całkiem nieźle znał Bieszczady i był dobrze przygotowany na wędrowkę, jednak nie docenił znaczenia silnego wiatru, trudnych warunków, oraz głębokiej pokrywy śnieżnej. W takich warunkach turysta powinien mieć narty bądź rakietę śnieżną - wyjaśnia Leszek Berezka. Młody turysta nie powiedział także nikogo o swojej eskapadzie. Gdyby nie zadziałał telefon komórkowy to wszystko mogło mieć o wiele gorszy finał - ostrzega ratownik.

Zaledwie po trzech dniach od tego wydarzenia, w centrali GORP, znów rozległ się alarm. Było kilka minut przed 19-tą, kiedy grupa 25 ratowników wyruszyła w góry. Początkowo do akcji włączyła się także policja i Straż Graniczna - opowiada biorący w akcji udział Stefan Kopka, ratownik GORP. Do dyspozycji mieliśmy trzy terenowe land rovery - dwa należące do GORP-u i jeden SG - oraz dwa skutery śnieżne - mówi. Akcja była szalenie trudna, ratownicy zmagali się z silnym wiatrem, zawiejami, zamieciami oraz intensywnymi opadami śniegu. W rejonie poszukiwań warstwa śniegu przekraczała metr. Walka z czasem i fatalnymi warunkami pogodowymi trwała blisko pięć godzin. Około północy ratownicy GORP, dotarli do zagubionych turystów. Byli wycieńczeni, zmęczeni i wyczerpani wielogodzinną

wędrowką. Dotarliśmy do tych osób niemal w ostatniej chwili. Gdyby w tych warunkach przebywały tam jeszcze kilkadziesiąt minut, mogło dojść do tragedii - relacjonuje Kopka. Od razu po odnalezieniu turystów ratownicy przetransportowali ich do szpitala w Sanoku. Na oddziale wewnętrznym sanockiego szpitala lekarze spędzili noc.

Cała grupa wraz z trójką pechowych turystów przebywała w Ośrodku Turystycznym - Wypoczynkowym Pod Sulią w Rzepedzi. W Bieszczady przyjechali spod warszawskiego Konstancina. W trakcie swojego pobytu bardzo dobrze się u nas bawili. Robili kuligi, organizowali piesze wędrowki po okolicach - opowiada Jadwiga Koziel właścicielka Ośrodka Turystycznego - Wypoczynkowego Pod Sulią w Rzepedzi. Nic nie zapowiadało tak dramatycznego przebiegu wędrowki. Tym bardziej, że 60-letni opiekun grupy, często bywał w Bieszczadach i był pewien że zna trasę - opowiada Jadwiga Koziel. Jednak po kilku godzinach warunków straszny mężczyzna, opiekun grupy załapał. Dwóch chłopców jeden w wieku 14. drugi w wieku 16. lat zadeklarowało swoją pomoc. Postanowili zostać przy 60-latku do czasu sprowadzenia pomocy. Pozostała część grupy wróciła i zaalarmowała GORP. Co było dalej już pan wie - kończy swoją opowieść właścicielka ośrodka.

Mimo, że trójkę turystów znaleziono około północy, cała akcja zakończyła się około 7.30 rano. Tyle się w mediach mówi o rozprawie przed wyjściem w góry, a tu znów to samo - nie kryje rozczalenia Stefan Kopka. Góry są bardzo piękne, ale są też zdradliwe. Na wędrowki w tak trudnych warunkach jakie utrzymują się w Bieszczadach od kilku dni, powinny iść osoby które są w dobrej kondycji fizycznej i znają te góry - dodaje ratownik. Jeśli już wybieramy się w góry, to idźmy tam większą grupą i koniecznie poinformujmy o trasie wycieczki w miejscu swojego pobytu. Zabierzmy ze sobą ciepłe ubrania, telefon komórkowy, jedzenie i ciepły napój w termosie. W tym roku GORP-owcy interweniowali w górach już sześć razy. Czwartkowa akcja była najpoważniejsza z tych w jakich do tej pory brałem udział - dodał Kopka.

# Kowbojskie bajania

Lesko. Wielki miłośnik i propagator muzyki country Korneliusz Pacuda odwiedził Lesko. W Bieszczadzkim Domu Kultury spotkał się z mieszkańcami miasta by opowiedzieć o muzyce, którą kocha. Zaplanowane wstępnie na kilkadziesiąt minut spotkanie przeciągnęło się do dwóch godzin.

Kilkudziesięciu mieszkańców Leska przyszło w ubiegły czwartek do BDK by posłuchać countryowych opowieści Korneliusza Pacudy. Zamiast 20 minut honorowy obywatel Leska mówił przeszło godzinę. Jego barwne opowieści ilustrowane były muzyką z płyt. Na zakończenie Korneliusz otrzymał kwiaty, które jednak wręczył nam z powrotem mówiąc że to nam się należy - z radością w głosie mówi Ewa Baranowska dyrektor BDK. Jego osoba i temat spotkania były taką namiastką lata w środku zimy, bo jak wszyscy wiedzą country w Bieszczadach jest zawsze w wakacje - dodaje dyrektor BDK-u. Podczas spotkania nie zabrakło kowbojskiej muzyki. Na scenie zagrała i śpiewała rzeszowska grupa Galicja, będąca częstym bywalcem leskich pikników.

Korneliusz Pacuda od wielu lat prowadzi Pikniki Country w Lesku. W lipcu ub.r. tydzień po jubileuszowym 15. Pikniku Country otrzymał tytuł honorowego obywatela Leska. Rada Miasta przyznała ten tytuł, na wniosek Bieszczadzkiego Domu Kultury i grupy leskich miłośników muzyki country. Festiwal muzyki country w Lesku powstał również, dzięki niemu bo jeszcze zanim country rozbrzmiewało w

Lesku i Bieszczadach, Pacuda przyjeżdżał i promował tę muzykę. Przez cały czas reklamował Bieszczady i Lesko w całym kraju jako miejsca związane z muzyką country. Przez 20 lat odłąd z Leskiem jest związany, nigdy nie odmówił nam pomocy - wspomina dyrektor BDK.

Mimo że Korneliusz Pacuda tytuł honorowego obywatela miasta Leska nosi już ósmy miesiąc, to oficjalną uroczystość nadania zaplanowano na lipiec, podczas tegorocznego Pikniku Country. Chcemy nadać temu wydarzeniu odpowiednią rangę - mówi Ewa Baranowska.

Korneliusz Pacuda to jedna z najbardziej znanych postaci kojarząca się z muzyką country w Polsce. Oprócz Leska jest honorowym obywatelem Tennessee i Mrągowa, czyli miejsc gdzie country jest miejscem kultu. Jako jeden z pierwszych pracując jedynie w radiowej "Trójce", potem w programie I PR i telewizyjnej "Jedynce", propagował muzykę country na ogólnopolskich antenach.

Grzegorz Bończak  
(GB)



Ustrzyki Dolne 28.01.2003 r.

Redakcja czasopisma "Połoniny"

w Ustrzykach Dolnych.

Zwracam się do Państwa z prośbą o podjęcie interwencji w sprawie mieszkania komunalnego mojej matki. Mama moja dzisiaj licząca prawie 93 lata jest związana z naszym miastem od ponad pół wieku. Prawie przez cały ten kres zajmuje mieszkanie przy ulicy Naftowej pochodzące z dawnych zasobów kopalnictwa naftowego a obecnie administrowane przez ustrzycki PGM. Standard mieszkania jest niezmienny od momentu otrzymania przydziału w 1955 roku, tzn. administrator nie wprowadził żadnych zmian w jego technicznym wyposażeniu i nadal jest tu ogrzewanie piecowe a z innych zdobyczy cywilizacyjnych wodociąg z zimną wodą i kanalizacja. Wiele elementów budynku, między innymi stolarka okienna, pamięta jeszcze czasy II Rzeczypospolitej a co to znaczy dla starego człowieka nie muszę Państwu tłumaczyć. W jesieni ubiegłego roku stan zdrowia mamy gwałtownie się pogorszył i po dłuższym pobycie w szpitalu powrót do zimnego i wilgotnego mieszkania stanowiłby poważne zagrożenie dla jej zdrowia i życia. Podjąłem wówczas jedną z najtrudniejszych decyzji w moim życiu i umieściłem mamę w Domu Pomocy Społecznej w Moczarach wierząc, że warunki jakie tam stworzono pensjonariuszom jak i serdeczna i profesjonalna opieka ze strony personelu pomogą mamie powrócić do zdrowia. Przypuszczenia moje potwierdziły się w pełni. Mama odzyskała dawną formę i życiowy optymizm, snując plany, że może wiosną i latem uda się przynajmniej na jakiś czas powrócić do "starego" mieszkania. Jakież było moje przerażenie, gdy kilka dni temu zastałem mamę w stanie kompletnego załamania, apatyczną i zrezygnowaną. Pracownica Domu Pomocy wyjaśniła mi, że ta niespodziewana zmiana nastąpiła po przeczytaniu przez mamę jakiegoś listu. Okazała się, że otrzymała urzędowe pismo za potwierdzeniem odbioru z PGM w Ustrzykach Dolnych. W piśmie tym Pani Dyrektor Barbara Mirecka informuje, że uzyskała informację o pobycie mamy w DPS Moczary i nie używaniu przez nią mieszkania komunalnego. W dalszej części pisma[kopie załączam] wzywa mamę do określenia terminu opuszczenia mieszkania a w przypadku braku jej zgody grozi skierowaniem sprawy do sądu i w konsekwencji eksmisją. W tym momencie świat mojej mamy legł w gruzach, bo oto u schyłku życia ktoś w imię niezrozumiałych zasad prawnych chce zabrać jej własny kąt. Najbardziej zdenerwowało mnie stwierdzenie "Przedsiębiorstwo uzyskało informację" a to moja mama w dniu wyjazdu do Moczar zawiadomiła o tym pisemnie PGM. Podchodzę do tej sprawy bardzo emocjonalnie, dlatego zwracam się do Was z prośbą o interwencję.

Z uwagi na samopoczucie mojej mamy serdecznie proszę o zachowanie naszych danych osobowych wyłącznie do wiadomości redakcji.

Serdecznie pozdrawiam

Stały czytelnik

PS. Pragnę dodać, że wszystkie zobowiązania wobec PGM są przez mamę uregulowane w DPS Moczary mama jest zameldowana tylko na pobyt czasowy.

Od redakcji:

Szanowny Panie!

Z ogromną uwagą zapoznałem się z przedstawioną w Pańskim liście sprawą. Przyznaję, że trudno w to wszystko uwierzyć i zrozumieć powody, dla których sędziwego człowieka naraża się na nieczym nieuzasadniony stres. Jako radny Rady Miejskiej niezwłocznie zwrócę się do Burmistrza Ustrzyk Dolnych z interpelacją w sprawie Pańskiej matki. Jestem przekonany, że Pan Burmistrz Henryk Sułuj jako organ nadzorujący działalność PGM udzieli mi na ten temat wyczerpujących wyjaśnień. Zarówno Pana, jak i wszystkich czytelników obszernie o tym poinformuję. Myślę, że w tej sprawie redakcja nasza znajdzie sojusznika nawet w osobie Redaktora Naczelnego "Gazety Bieszczadzkiej", który o ile pamiętam był wieloletnim sąsiadem Pana matki i może nawet bardziej ode mnie poczuje się dotknięty tą sprawą.

Serdecznie pozdrawiam

Marek Prorok

## Uprzejmie donoszę

Jest takie przysłowie uderz w stół, a nożyce się odezwą. Zgodnie z tą zasadą na mój tekst o tym iż na razie nie mamy numerów ISSN, do ataku ruszył redaktor sympatycznej drugiej ustrzyckiej gazety zarzucając nam bezprawne działanie. Otóż drogi i uczynny donosicielu wiesz dokładnie, że Biblioteka Narodowa życzy sobie przesłania pierwszego numeru gazety celem nadania numerów ISSN. Trudno to zrobić nie wydając tego numeru. Co gorsze prócz tego do biblioteki doszło, iż wcześniej wydawaliśmy pismo o nazwie "Bieszczady -Inaczej"- takie nic, jak pan stwierdził i o zgrozo też chce to mieć w swoich zbiorach. Podobnie ma się sprawa z rejestracją sądową. Zrobiliśmy to w odpowiednim czasie, niestety na nasze nieszczęście pani, która w Krośnie prowadzi sprawy rejestrowe była na wolnym, a osoba ją zastępująca kazała nam przesłać papiery do Rzeszowa. W Rzeszowie powiedziano, że robi to Krosno i tak sobie pismo krążyło. Teraz od pewnego czasu znów jest w Krośnie i czeka na rejestrację. Obowiązek spełniliśmy i nie ma tu żadnego wykroczenia.



Powiatowa i Miejska

Biblioteka Publiczna

38-700 Ustrzyki Dolne

ul. Rynek 5 tel. (013)461 1253

Ustrzyki Dolne 2003-02-03

Jestem głęboko wdzięczna Panu Markowi Prorokowi za szczerą troskę o los Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Ustrzykach Dolnych, którą wyraził w nr 2(3) z 21.01.2003 r. "Poloniny" ubolewając równocześnie nad niedostatkami budżetu gminy dotyczącymi szczególnie obszaru kultury. Jako dyrektor ustrzyckiej biblioteki z przykrością muszę stwierdzić oczywiste przekłamania w jakie "Rozważania (M. Proroka)" nad budżetem (i nie tylko) Gminy Ustrzyki Dolne" obfitują.

Refleksje nasuwają się same:

- Księgozbiór odtwarzany jest na bieżąco.

- W czytelni znajduje się cały szereg leksykonów i słowników.

- Dodatkowo osobom szczególnie zainteresowanym i potrzebującym (np. dla olimpijczyków z ustrzyckiego LO oraz studentów sprowadzamy książki i materiały biblioteczne z innych bibliotek.

To prawda, że wciąż brakuje środków na atrakcje kulturalne, ale to nie usprawiedliwia okłamywania opinii publicznej na łamach czasopisma "Poloniny" w stylu, iż ustrzycka biblioteka jest w "zapaści" i właściwie nie jest w stanie posłużyć nikomu. Informuję Pana Radnego i Członka Komisji Oświaty, Zdrowia, Kultury i Kultury Fizycznej (M. Proroka) oraz opinię publiczną, że mimo kryzysu w finansach nasza biblioteka ciągle uzupełnia swoje zbiory o nowości, co skutkuje stałym wzrostem czytelnictwa i wypożyczeń.

Na koniec chciałabym przypomnieć Panu Prorokowi, że sam pełnił funkcję dyrektora Miejskiego Domu Kultury oraz Miejskiej i Gminnej Biblioteki Publicznej w czasach podobno przychylniejszych kulturze. Czy pod jego przewodnictwem placówki te w sposób niezwykle, szczególnie i wyjątkowy służyły ustrzyckiemu społeczeństwu?

Dyrektor PiMBP

Anna Metyk

Od autora:

List, który powyżej zamieściliśmy nadszedł do redakcji z pieczętami ustrzyckiej Biblioteki Publicznej, ale bez własnoręcznego podpisu autorki. Przyjęliśmy jednak założenie, że jest on autentyczny i dlatego zdecydowaliśmy się na jego publikację. Przyznam szczerze, że wpawili mnie on w przerażenie i to nie oskarżeniami, że wprowadzam w błąd ustrzycką opinię publiczną, ale ładunkiem sarkazmu oraz kompletnym niezrozumieniem treści artykułu wynikającym bądź to z niedokładnego przeczytania, bądź z założonej z góry złośliwości. Pisząc ów totalnie skrytykowany i kłamliwy, zdaniem Anny Metyk materiał, opierałem się na trzech rzeczach: uchwalonym budżecie gminy, materiałach jakie na moją prośbę przedstawiła mi autorka listu oraz własnej wiedzy na ten temat zdobytej podczas kilkuletniej (wysztychanej przez autorkę) pracy w instytucjach upowszechniania kultury. Materiał ten został zamieszczony w stałej rubryce naszej gazety, którą redaguję jako członek Rady Miejskiej, dlatego oparłem się również na wiedzy zdobytej na posiedzeniach Komisji Oświaty i Kultury. Jako inicjator skierowania uwagi Komisji na trudną sytuację ustrzyckich placówek upowszechniania kultury odbyłem kilka indywidualnych spotkań z dyrektorami tych placówek w tym również z Anną Metyk. Analizując otrzymane materiały jak i zapiski z rozmów z Panią Anną Metyk (również w czasie posiedzenia Komisji) wyrobiłem sobie własne zdanie na temat sytuacji finansowej w ustrzyckiej bibliotece. Liczby podane w materiale są od początku do końca prawdziwe i pragnę dodać do nich tylko jedną informację, otóż z dotacji dla biblioteki w wysokości 500 tysięcy PLN ok. 400 tysięcy stanowią wynagrodzenia pracowników wraz z pochodnymi a 40 tysięcy same opłaty za energię elektryczną i ciepłą. Piszę o tym dla pokazania jak mało pieniędzy pozostaje na podstawową działalność a nie dla stwierdzenia jak dużo wydaje się na pobyty pracowników. Zdaję sobie sprawę z obiektywnych przyczyn warunkujących taką a nie inną sytuację finansową biblioteki i nigdy i nigdzie nie obarczałem nikogo winą za zdecydowanie niewystarczające zakupy księgozbioru. Nie będę się odnosił do poszczególnych stawianych mi przez Anię Metyk zarzutów, a ocenę ich rzetelności jak i ocenę wielkości środków na zakup księgozbioru, pozostawiam czytelnikom. Pozwolę sobie na jedną bardzo osobistą refleksję. Praca w ustrzyckiej kulturze przez prawie siedem lat była w moim życiu bardzo ważnym okresem i dlatego do wszystkiego, co jest z nią związane podchodzę bardzo emocjonalnie. Po wyborze do Rady Miejskiej zgłosiłem swój akces do Komisji Kultury wierząc, że będę mógł w ten sposób pomóc. Licząc na zrozumienie ze strony pracowników tych placówek pierwsze kroki skierowałem do dyrektorów i podczas szczerzej rozmowy starałem się przedstawić moje intencje. Ponieważ znam Anię Metyk od dziecka, a przez kilka lat mieliśmy okazję razem pracować, tym trudniej jest mi zrozumieć powody, dla których oskarża mnie o wszystko co najgorsze, wyszydzając jednocześnie moje starania jako radnego. Zdecydowałem się na te osobiste wyrzuty bo mam nadzieję, że list Ani Metyk jest wynikiem jakiegoś koszmarnego nieporozumienia, które w najbliższym czasie uda się wyjaśnić.

Marek Prorok

P.S. Świadomie nie odpowiadam na postawione w liście pytania dotyczące lat mojej pracy w ustrzyckiej kulturze. Uważam te okresy za nieporównywalne zarówno pod względem możliwości finansowych jak i proponowanej oferty kulturalnej. Nie było to jednak zależne ode mnie. A daleko większe możliwości wynikały z prowadzonej przez państwo polityki kulturalnej. Dla porównania podam tylko, że wielkość środków przeznaczanych wówczas na zakup księgozbioru równa była kwocie przeznaczanej na wynagrodzenia pracowników.



# Szanowny Panie Ustrzycki!

Jeszcze w ubiegłym roku w jednym ze swoich listów poruszałem sprawę opóźniających się wyborów starosty bieszczadzkiego. Przedstawiłem wówczas hipotetyczną możliwość przetrzymywania tego stanowiska dla Piotra Korczaka, którego pozycja w Arłamowie jest niepewna i w czerwcu może on stracić tę intratną posadę. Po ostatnich wydarzeniach związanych z zajmowaniem przez Panią Ewę Sudół dwóch stanowisk owa hipoteza może się ziścić. Proszę sobie wyobrazić, że Pani Ewa oprócz starostwa bieszczadzkiego ciągle trzyma dla siebie funkcję skarbnika miejskiego. Oficjalnym powodem takiej sytuacji jest brak w naszym mieście odpowiednio wykształconych fachowców do piastowania tego urzędu. Muszę Panu przypomnieć, że Pani Ewa została urlopowana przez Radę Miejską na okres pełnienia funkcji pełnomocnika ds. utworzenia powiatu bieszczadzkiego. Pełniła tę funkcję do końca 2002 roku, obejmując 30 grudnia stanowisko starosty bieszczadzkiego. Zgodnie z obowiązującym prawem powoływanie i odwoływanie skarbnika leży w wyłącznej gestii Rady Miejskiej, tym samym i ona winna decydować o udzieleniu kilkuletniego urlopu bezpłatnego. Czy radni obecnej kadencji udzielili Pani Skarbnik takiego urlopu nie potrafię Panu autorytatywnie powiedzieć. Po tym wydarzeniu jeden z moich redakcyjnych kolegów zainteresował się dalszymi losami vacatu na stanowiska szefa finansów miejskich. Okazało się, że nadal panuje w tej sprawie status quo. Oszczędni urzędnicy miejscy nie zmienili nawet tabliczek z nazwiskiem skarbnika a stronie internetowej miasta nadal figurowała jako skarbnik Pani Ewa Sudół. W ostatnich dniach przy nazwisku skarbnika pojawiła się adnotacja "urlop bezpłatny". Czy na podstawie tych faktów nie można odnieść wrażenia pewnej tymczasowości obsad stanowisk starosty i skarbnika? Czy nie wydaje się możliwa wersja wydarzeń przedstawiona na wstępie? Najbardziej naiwne wydaje się tłumaczenie powodów nie obsadzania stanowiska skarbnika. Czy można bez wątpliwości uwierzyć w stwierdzenie Pana burmistrza o braku odpowiednich kandydatów na terenie dziesięciotysięcznego miasta i nie wiele mniejszej gminy? Sam jestem w stanie podać co najmniej kilka osób posiadających odpowiednie wykształcenie poparte niemałą praktyką. Robienie naiwniaków z mieszkańców miasta nie licuje z powagą urzędu burmistrza, tym bardziej w sytuacji dużego bezrobocia,

również wśród ludzi wykształconych. Te dziwne podchody prowadzone przez duet czyli tercet skarbniko - starościna i burmistrz powodują utratę zaufania prostych ludzi do wszelkich działań władzy prowadząc równocześnie do znieczękania się mieszkańców do samorządności. W ostatnich dniach pojawił się w Ustrzykach Dolnych nowy problem, chodzi o budowę supermarketu u zbiegu ulic Nadgórnej i Gombrowicza. Nie czuję się powołany do autorytatywnej oceny tego przedsięwzięcia, chciałbym jednak podzielić się z Panem moimi wątpliwościami. Znałe są korzyści płynące z otwierania dużych sklepów, ale nasuwa się co najmniej kilka pytań co do kosztów społecznych tego typu działań. Moim zdaniem należy przeanalizować ile małych sklepów zbankrutuje z tego powodu i na ile osób bezrobotnych przełoży się takie działanie? Jaki wpływ będą miały bankructwa małych sklepów na kondycję finansową ustrzyckich hurtowni? Czy nie odczują tego małe zakłady produkcyjne jak masarnie czy piekarnie? Jak zmienia się wpływ kasy miejskiej z tytułu podatków, które mali przedsiębiorcy opłacają w miejscowym urzędzie skarbowym a duży market w miejscu będącym siedzibą całej sieci sklepów. Są to poważne problemy i bez odpowiedzi na tak postawione pytania nie powinno podejmować się ostatecznej decyzji. Drugim istotnym czynnikiem jest lokalizacja dużego sklepu. Praca takiej placówki jest dużym utrudnieniem dla sąsiadów, zwłaszcza jeżeli są nimi osiedla mieszkaniowe. Pomysł budowy supermarketu w proponowanym miejscu to poważny kłopot dla mieszkańców posesji położonych przy sąsiadujących ulicach. W Europie, do której staramy się równać tego typu obiekty powstają na obrzeżach miast z dala od dzielnic mieszkaniowych. Chłodnej i rozważnej kalkulacji nie da się zastąpić ankietą na miejskiej stronie internetowej. Zarówno burmistrz jak i Rada Miejska winni się poważnie zastanowić, które rozwiązanie będzie korzystniejsze dla naszego miasta. Nie jest to inwestycja wielce korzystna dla miasta i przy podejmowaniu decyzji nie potrzebny jest pośpiech jak przy łapaniu pcheł. Wierząc w rozważę i rozsądek ustrzyckich rajców pozdrawiam Pana serdecznie.

Pozostaję z szacunkiem  
Ambroży Optymista  
Ustrzyki Dolne 10 lutego 2003 r.

## Z prac Biura Parlamentarno-Samorządowego SLD w Ustrzykach Dolnych

We wtorek 4 lutego 2003 roku w godzinach od 10.00 do 13.00 kolejny dyżur poselski pełnił Poseł Tadeusz Kaleniecki. Regularne dyżury poselskie odbywane raz w miesiącu cieszą się coraz większym zainteresowaniem. Odwiedzający posła wyborcy przychodzą z różnymi problemami, często bardzo osobistymi, choć najczęściej są to prośby o pomoc w znalezieniu pracy. Trudne życiowe problemy są przez posła cierpliwie wysłuchiwanie i każdy przypadek jest szczegółowo rozpatrywany. Serdecznie zapraszamy wszystkich zainteresowanych do odwiedzenia naszego Biura. Interesanci przyjmowani są codziennie w godzinach od 10.00 do 12.00 a każdą środę dyżurują przemiennie radni SLD. Dyżury poselskie odbywają się raz w miesiącu, ale w przypadkach nie cierpiących zwłoki możliwy jest telefoniczny kontakt z posłem. Siedziba Biura mieści

się w biurze SHU "Halicz" przy ul. 29-go Listopada 35 pok. 24. Kontakt telefoniczny i telefaksowy pod numerem (13) 461 4398 zaś e-mailowy pod następującymi adresami:

bieszczady@sld.podkarpacie.pl  
lub  
bieszczadzki@sld.org.pl



**Tadeusz Kaleniecki**  
jest mieszkańcem Krosna  
ma 52 lata  
i jest emerytowanym pilotem  
samolotów odrzutowych



Moim  
zdaniem



## Przyganiał kocioł garnkowi

Kilkakrotnie w moim dziennikarskim działaniu straszono mnie sądem. Oczywiście każdy piszący, mówiący czy też pokazujący się przed kamerami dziennikarz musi się liczyć z takim faktem. Tych początkujących taka świadomość wręcz paraliżuje, widzą bowiem siebie z kajdankami na rękach lub co gorsze w więziennych kazamatach. Wizja ta powoduje, że część dziennikarzy już od swoich pierwszych kroków w zawodzie przechodzi na tzw. dziennikarstwo laurkowe. Polega o no na tym, że pisze się o wszystkim tylko dobrze, uczestniczy się tylko w uroczystych otwarciach, zamknięciach, jubileuszach, benefisach, krytykę ogranicza się jedynie do wytykania faktu nieuprzejmej obsługi w małym sklepiku, niekulturalnej jazdy samochodem, lub rzucania papierków na chodniki. Oczywiście nie znaczy to iż takie tematy powinny być przez dziennikarzy pomijane, nie mogą jednak dominować. Dziennikarz ma pewną rolę do spełnienia, a polega ona między innymi na pisaniu o różnych nieprawidłowościach, matactwach, błędach, nieprawidłowych działaniach. Celem takiego pisania nie jest możliwość dołożenia komuś nie lubianemu, lecz próba zwrócenia uwagi tym którzy te nieprawidłowości powinni zauważyć i naprawić.

Pierwszy raz z groźbą pozwu sądowego zwróciła się do mnie Pani Rita kilkumiesięczna kierowniczka Ośrodka Wypoczynkowego w Arłamowie. Było to jeszcze w czasach gdy Ośrodkiem zarządzała gmina Ustrzyki, a materiał który tak bardzo nie spodobał się kierownicze ukazał się w "Gazecie Bieszczadzkiej". Oczywiście pisząc o jakichkolwiek nieprawidłowościach, trzeba je mieć dokładnie udokumentowane. Tak też było w przypadku tego materiału. Do redakcji docierały skargi na styl działania pani Rity. Turyści przemierzający setki kilometrów celem zwiedzenia Arłamowa napotykali w środku dnia zamknięte drzwi, w budynku panował przysłowiowy bród, smród i ubóstwo o czy mogłem się osobiście przekonać, a jedyną istotą która była dobrze traktowana w tamtym miejscu był pies kierowniczy. Po tym artykule pani Rita zaszczyliła mnie swoją wizytą dodając, że do następnego spotkania dojdzie w sądzie. Jak czytelnicy się zapewne domyślają nie spotkaliśmy się w sądzie z tej prostej przyczyny, że to o czym pisałem było oczywistą prawdą. O sytuacji panującej w Ośrodku wiedziały doskonale władze miasta, nie wyrzucały jednak kierowniczy bo

umieścić ją tam jeden z ustrzyckich wiceburmistrzów. Artykuł zaś miał mnie zaszkodzić zaszkodził pani Ricie ponieważ po jakimś czasie, odpowiednio długim by ktoś nie pomyślał, że robi się to z mojej inspiracji wyrzucono kierowniczkę z ośrodka.

Następnym w kolejce ciągnących mnie do sądu był człowiek z Polski, który jak twierdził reprezentował nasz kraj na olimpiadzie w Moskwie. W Ustrzykach został dzierżawcą lokalu w Rynku, w którym zorganizował - według niego - ekskluzywną knajpę pod nazwą "Tyrolia". Zaś według mieszkańców był to ponura tandetnie wyposażona speluna z pozbawionymi kultury ale chętnymi do bicia ochroniarzami. Tenże gość z nazwiskiem na K. Zbieżnym z nazwiskiem jednego z ówczesnych ministrów, miał w Ustrzykach chrapkę na wszystko. Interesowały go wyciągi narciarskie, ośrodek wypoczynkowy w Arłamowie i ośrodek PPD Ustianowa w Solinie, w którym zresztą pomieszkiwał. Stwarzał pozory gościa o niewyczerpanych zasobach finansowych, chciał zakładać prywatną telefoniczną linię światłowodową i tym podobne bzdury. Tak naprawdę zaś nie płacił za nic, ani za pobyt w ośrodku w Solinie, ani za dzierżawę lokalu w Rynku, ani swym pracownikom, ani też "Gazecie Bieszczadzkiej" za ogłoszenia które tu zamieszczał. Gdy odwiedził mnie z groźbą pozwu do sądu zastał moją żonę, która powiedziała mu, że ja wrócę za moment on zaś niech w tym czasie pójdzie uregulować rachunki za ogłoszenia w gazecie. Poszedł, i jak zapewne domyślacie się państwo nigdy nie wrócił, zaś miasto w poczet długów pana K. Przejęło piec do pizzy.

Grozi mi sądowym pozwem były przewodniczący rady miasta. No cóż takie jego prawo. Chcę tylko powiedzieć, że wożenie mnie do jednej z wiosek pod Ustrzykami przez pana przewodniczącego to zapewne mój wymysł. A to tam właśnie oglądałem znakomity zresztą projekt stadionu zimowego, o który mówiliśmy wszyscy tzn. projektanci, pan przewodniczący i ja przez godzinę w Radiu Bieszczady. O tym stadionie pisałem nie w kontekście wad projektu, ale w kontekście nieprzemyślanej decyzji bo z góry było wiadomo, że miasto na inwestycje nie będzie miało pieniędzy. Pisałem o nieprzemyślanych decyzjach przewodniczącego rady, a nie o samym Panu Stanisławie N., do którego nic osobiście nie mam i którego cenę za swoją sportową pasję.

Groziła mi też pozwem radna, a potem dyrektorka leskiego oddziału Podkarpackiego Banku Spółdzielczego. Groziła za to iż napisałem, że stanowisko to otrzymała za "prawidłową" postawę w radzie dużego powiatu bieszczadzkiego. Uważałem, że funkcja ta ją przerasta i jak się okazało miałem rację. Dziś w sprawie przekrętów Józefy G. prokuratura prowadzi śledztwo i lada moment zostanie postawiona wspólnie z podległą sobie kasjerką w stan oskarżenia.

Nikt nie jest bez grzechu, również i ja. Nigdy też w swoim pisaniu nie ruszam spraw osobistych ludzi o których piszę. Koncentruję się jedynie na ich sprawach zawodowych, a już szczególnie wytykam błędy ludziom którzy pełnią swoje funkcje z wyboru. Jeśli potraktują moje materiały jako życzliwe uwagi będę z tego rad, a i oni mogą na tym skorzystać, jeśli potraktują to jako czeplanie się to zapewne jeszcze nie raz stanę przed groźbą sądowej konfrontacji. Zaznaczam jednak, że zawsze pisząc opieram się na dokładnej dokumentacji.

Wiesław Stebnicki



## Okrakiem na dwóch stołkach - ciąg dalszy

W dzienniku "Nowiny" nr 26 z dnia 6 lutego 2003 roku ukazał się artykuł zatytułowany "Awantura o skarbnika", w którym autor Krzysztof Potaczała podejmuje mój trop w sprawie zajmowania dwóch etatów Skarbnika Miasta i Starosty Bieszczadzkiego przez Panią Ewę Sudol. Pani Sudol oskarża mnie o opieranie artykułu na plotkach zapominając najwyraźniej o załączonym wydruku strony internetowej i tabliczkach na drzwiach jej gabinetu w ustrzyckim urzędzie miejskim. Jeżeli jednak Pani Ewa Sudol, uważa, że mój artykuł narusza w jakimś stopniu jej dobra osobiste i opiera się na nieprawdzie to są odpowiednie przepisy prawa prasowego, pozwalające na dochodzeniu swoich racji przed sądem. Fakty przedstawione w moim materiale zostały w pełni potwierdzone przez burmistrza Sulugę i pozostaje tylko kwestia pobierania wynagrodzenia, którą to wiadomość podałem jako nie potwierdzoną. Najbardziej martwi mnie jednak brak w Ustrzykach Dolnych odpowiednio wykwalifikowanych specjalistów do objęcia stanowiska skarbnika miasta. W pierwszej chwili wpadłem na pomysł, aby pomóc Panu burmistrzowi w poszukiwaniu kandydatów na skarbnika i ogłosić w naszej gazecie apel o zgłaszanie się chętnych. Doszedłem jednak do wniosku, że już sam fakt skierowania zgłoszenia do naszej redakcji oznaczałby dla kandydata dyskwalifikację w przedbiegach. Dlatego też, w imieniu redakcji, składam Burmistrzowi Ustrzyk Dolnych szczerze zapewnienie, że ogłoszenie o konkursie na stanowiska skarbnika ogłosimy bezpłatnie i będziemy je szeroko reklamować. Nie możemy dopuścić, aby Pani Ewa Sudol zmuszona była pracować w godzinach nadliczbowych i do tego bez najmniejszego wynagrodzenia.

Marek Prorok

## KSIĘGI WIECZYSTE ZNOWU W USTRZYKACH

Od 1 stycznia 2003 roku rozpoczął oficjalnie działalność w Ustrzykach Dolnych Zamiejscowy Wydział VII Ksiąg Wieczystych Sądu Rejonowego z Leska. W piątek 7 lutego dokonano uroczystego przekazania pomieszczeń dla wydziału, a już w poniedziałek 10 lutego dokonano fizycznego przewiezienia dokumentacji z Leska do Ustrzyk. Szybkie działania możliwe były dzięki dużemu zaangażowaniu Pana Juliusza Tarnowskiego, który przy pomocy ustrzyckich przedsiębiorstw Masarni "Graham" - Państwa Kociszewskich i Spółdzielni Handlowo-Uslugowej "Halicz" zorganizował przetransportowanie całej dokumentacji. Wszystkim wymienionym, należą się słowa gorącego podziękowania. Dla mieszkańców Powiatu Bieszczadzkiego jest to ważna wiadomość, bo działalność wydziału znacznie skróci czas potrzebny na załatwienie wielu istotnych spraw. Wydział Ksiąg Wieczystych mieści się przy ul. 29-Listopada 12, telefon 461 2118. Czynny jest w dni powszednie w godzinach od 8.30 do 15.30.



*Prezes Sądu Rejonowego w Lesku Jacek Łukasik i Pan Juliusz Tarnowski podczas załadunku dokumentacji.*

**"POLONINY" - Bieszczadzkie Czasopismo Regionalne.** Redaguje zespół w składzie W. Stebnicki - Redaktor Naczelny, Jakub Demel, Krzysztof Krysta, Marek Prorok. Za treść ogłoszeń i listów redakcja nie odpowiada.

**Adres redakcji:** 38-700 Ustrzyki Dolne ul. 29-go Listopada 35 tel. fax. (013) 461 4398, e-mail poloniny@poczta.onet.pl.

**Wydawca:** "KSU" sp. z o.o. 38-700 Ustrzyki Dolne, ul. Pionierska 7. Ceny ogłoszeń: za 1 cm<sup>2</sup> 0,80 PLN, na stronie tytułowej 1,5 PLN, ogłoszenia drobne do dwudziestu słów 3,50 PLN. Wymienione ceny są cenami netto.